



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

X. FRANCISZEK XAWERY

## MALINOWSKI

Opuścił nas największy miłośnik i znawca języka polskiego, najgłębszy badacz praw jego i istoty, człowiek europejskiej wiedzy i zadziwiającej ogromem swym pracy, mąż cnót prawdziwie chrześcijańskich, wzorowy kapłan i gorliwy obywatel. Imię jego, równie jak i dzieła, za życia tylko niezlicznemu u nas zastępowi ludzi poważnie pracujących znane, teraz nareszcie, już po śmierci, ma prawo wdrzeć się do pamięci powszechnej. Gdyśmy nie wiedzieli co mamy, wiedźmy przynajmniej cośmy utracili; a utraciliśmy wiele: pierwszy bowiem dopiero Malinowski w całej rozciągłości zastosował do badania języka polskiego metodę lingwistyki porównawczej; pierwszy prawdziwie naukową, niewzruszoną nadał mu podstawę. Nikt już nowej nie ukaże nam drogi: on ją dla wszystkich raz nazawsze uutorował i kategorycznym swym imperatywem wszystkich na nią wprowadził. Odtąd gramatyka nasza i słownictwo tylko na obranej przez x. Malinowskiego drodze rozwijać się i postępować będą mogły. Człowiek taki, który pracami swymi sam sobie pomnik wystawił, zasługuje na to, aby wspomnienie o nim przeczytali nawet ci, których umysłowa działalność ogranicza się do czytania i rozpamiętywania, do rozpamiętywania i czytania, powieści i romanów.

Do życiorysu mało mamy wiadomości. Pan Klemens Kantecki w początkach swego zawodu pisarskiego wydał w Drohobyczu książeczkę niewielką, przedstawiającą obraz życia i działalności zasłużonego badacza; fakta w niej podane czerpać musiał niewątpliwie z najlepszego źródła;

w braku jednak tego materiału ograniczamy się na korzystaniu z wiadomości zebranych świeżo w nekrologu *Dziennika Poznańskiego*, a powtórzonych, z małemi odmianami, przez dzienniki warszawskie, jako też z tych, które dawniej jeszcze podały Encyklopedye.

Według wskazanych tu źródeł Franciszek Xawery Malinowski urodził się dnia 23-go Listopada 1808 r. w Prussach Zachodnich, w Golubiu nad Drwęcą, gdzie ojciec jego był burmistrzem. Burmistrz w Golubiu musiał być człowiekiem o skromnych środkach i skromnych marzeniach społecznych; p. Malinowski nie chciał widzieć syna swego niczem większym w życiu, jeno aptekarzem; bardzo jeszcze młodego chłopca oddał do miejscowej officyny zdrowia na praktykę i kształcenie jego umysłowe na szkołce elementarnej zakończył. Ale dziecko zapragnęło nauk, chciało coś umieć, coś wiedzieć, posiadać coś więcej nad rzemiosło aptekarskie. Dążenie to było tak silnem, że ojciec oddał chłopca do poblizkiej, na pograniczu, już w Królestwie Polskiem położonej, szkoły podwydziałowej księży Reformatów w Żurominie, w Mławskiem. Ówczesne szkoły podwydziałowe, w hierarchii wykształcenia idące zaraz po rzemieślniczych i niedzielnych, miały kierunek przeważnie praktyczny, użytecznościowy; zakres udzielanych w nich nauk odpowiadał dobrym dwóm klasom późniejszych gimnazyów. Widocznie ojciec przyszłego lingwisty nie miał albo ochoty, albo środków na kształcenie syna porządne, otwierające przyszłość. W Żurominie, jak i we wszystkich ówczesnych i dawniejszych szkołach klasztornych, trzymano wiele młodzieży biednej bezpłatnie: z bezpłatności tej mógł i młody Malinowski korzystać.

Dziecko w Żurominie uczyło się tak dobrze, iż byłoby to i nierozsądnem i krzywdzącem, gdyby mu wszelkimi siłami progów dalszej nauki nie otwarto: poszedł więc młodzieniaszek do Płocka, do szkoły wojewódzkiej, bardzo wtedy starannie

prowadzonej przez ludzi, którzy kochali i młodzież i nauczycielstwo i naukę, a działalnością swą w Towarzystwie Naukowym Płockiem dowodzili, że dobre wyrecytowanie lekcji przed młodzieżą nie jest najwyższem ich dążeniem. W tej szkole, mającej już wyraźny kierunek filologiczny, ukończył Malinowski całkowity, sześcioklasowy, kurs nauk; rok wyjścia z *maturą* można znaleźć w *Popisach* szkół płockich w Bibl. Głównej w Warszawie. — O aptekarstwie już teraz mowy być nie mogło; nowe drogi, nowe krainy otwierały się już przed wyobraźnią i energią młodzieńczą. Malinowski pojechał do Warszawy po naukę uniwersytecką. W źródłach, z których czerpiemy, znajduje się wiadomość, że był istotnie w uniwersytecie, że słuchał Brodzińskiego i Osinińskiego. Czy naprawdę był i słuchał? — na to niema dowodów. W tym czasie (w 1829 roku) Malinowski utracił ojca. Ulegając życzeniom macochy, której znowu chodziło o „przyszłość” Franciszka, zapisał się do seminarium dyecezyi chełmińskiej w Pelplinie, *zapisal się* tylko, gdyż mocno o tem wątpić potrzeba, czy na nauki uczęszczał, w latach bowiem 1829/30 był nauczycielem domowym w Rawskiem. Zapewne brak środków do życia oderwał go i od uniwersytetu i od seminarium i zagnał do zawodu przejściowego, wytrącającego z właściwej drogi życia. Dopiero wypadki przywiodły go napowrót do szkoły duchownej i kazały poświęcić się zawodowi, w którym tyle świetnych jaśniało już imion.

Po ukończeniu seminarium w Pelplinie wyświęcony na kapłana, Malinowski otrzymał wkrótce probostwo w Wałdowie nad Kamionką, w poblizu Tucholi. Na tem probostwie objął też i dziekanią tucholską. W Wałdowie, wykształcony już w łacinie i greckim, ze znajomością hebrajszczyzny, jakiej przy zdolnościach swych i pracowitości w seminarium nabyć musiał, zabrał się do swoich prac lingwistycznych i odrazu prowadzić je zaczął w sposób umiejętny,



porównawczy. Posiadały one charakter przygotowań, gromadzenia i porządkowania w umyśle materiałów jaknajobfitszych do prac, które w późniejszych dopiero latach w owoc pożywny dojrzeć miały. Malinowski zagłębił się w pomnikowe dzieła Montfaucona, Boppa, Grimma, Mommsena, Schleichera; poznawał wszystko, co tylko się umiętętego zjawilo w lingwistyce ogólnie europejskiej i słowiańskiej; zestąpił do początków pisma, do alfabetów semickich, od fenickiego począwszy; poznał sanskryt, język starosłowiański i litewski, obznajomił się z językiem i pismem gockiem Ulfilasa, z językiem staroniemieckim, z dialektami italskimi; otarł się nawet w badaniach swoich o Etrusków; starał się poznać mowę Ormian; otoczył się mnóstwem słowników i gramatyk — i ustawicznie, z poświęceniem zdrowia pracując, nagromadził w umyśle swym tak ogromny zasób wiadomości, że mógł już, nietylko sumiennie, ale i z niezawodnym skutkiem, oddać się badaniom nad językiem ojczystym.

Przy tylu i takich pracach pobyt w oddalonej od ognisk naukowych wioszynie dogodnym nie był: badacz poprosił arcybiskupa gnieźnieńskiego o danie mu choćby najskromniejszego urzędu w Poznaniu; prośba odniosła skutek i około r. 1852 otrzymał Malinowski miejsce penitencjarza przy katedrze poznańskiej. Tu już był bliżej świata, miał księgozbiory i księgarnie: mógł mieć książki, jakich potrzebował; a potrzebował ich wiele, bo nareszcie po długich trudach przygotowawczych, po długim uczeniu samego siebie, miał dać pracę już gotową, miał przystąpić do nauczania innych. Dążenia dotychczasowe, ogarniające obszar wszystkich prawie zasadniczych języków europejskich, przybrały teraz kształt wyraźniejszy. Odczytanie rozprawy Cegielskiego *O słowie polskiem* (1852) przechyliło szalę na stronę badań nad językiem ojczystym. Odtąd wszystko, co wiedział o innych, miało mu być tylko pomocą do tego, czego się chciał dowiedzieć o własnej mowie: zaczął pracować nad językoznawstwem polskiem. Pierwszymi owocami piśmienniczymi tej pracy były rozprawy krytyczno-polemiczne w latach 1856/7 w *Bibliotece Warszawskiej* zamieszczone; wywołało je zapowiedziane wówczas wydawnictwo *Słownika języka polskiego* w Wilnie (M. Orgelbranda).

W porządku badań Malinowskiego nad językiem polskim, badań, które doprowadzić miały do zbudowania gramatyki organicznej, najpierwszem było zajęcie się grafiką, fonologią i ortografią. Wyniki tej pracy swojej ogłaszał zmarły w *Rocznikach Poznańskiego Tow. Prz. Nauk* w latach 1859/63. Tu znajdują się *Zasady i prawa pisma polskiego* przez *Deputację od królewskiego Tow. Przyjaciół Nauk wyznaczoną podane etc.*; tu *Krytyczny pogląd na zasady głosowni w znanych mi gramatykach polskich*. Obie rozprawy ukazały się w osobnych odbiciach w Poznaniu; z drugiej wiele weszło do głównego dzieła. Samodzielne opracowanie *Gramatyki sanskrytu Boppa*, *Krytyczne uwagi nad rozprawą ks. Chońskiego „O języku polskim“*, krytyka *Gramatyki Małeckiego*, *Odpowiedź na rzecz (tegoż uczonego) o spółgłosce „j“* — poprzedziły, równie jak i dwie wyżej przytoczone rozprawy, ukazanie się, z takim mozołem i taką miłością opracowywanej, *Krytyczno-porównawczej gramatyki języka polskiego*. Dzieło swoje przygotował był Malinowski do druku w końcu r. 1865; pierwszy zeszyt zaledwie w lecie 1869 r. wyszedł spod prasy. Niewielkie probostwo — w Komornikach pod Poznaniem — ledwie na niezbędną bibliotekę wystarczało; chcąc wydać dzieło swe, musiał Malinowski ogłosić prenumeratę. Prenumeratorów zebrało się odrazu prawie 400; później przybyło jeszcze dwustu: liczba ze względu na powagę rzeczy wcale pokaźna; ale cały dochód z prenumeraty nie pokrył rzeczywistych kosztów, bo składanie pochłaniało nadmierne fundusze na nowowynalezione przez autora i podczas drukowania już ciągle ulepszone czcionki, które ostatnia część dzieła (*Partykuty* w Pierwoskładni) jest całkowicie wydrukowaną. Druk postępował wolno; czcionek albo nie było wcale, albo się opóźniały; w braku potrzebnych musiano używać podobnych (hebrajskich zamiast fenickich); korekta nakoniec wymagała wielkiej troskliwości. Zajął się nią, podobnie jak i całym wydawnic-

twem, gorliwy zwolennik zasad językoznawczych i przyjaciel Malinowskiego; zrobił on tyle dla wydawnictwa, że miał później prawo na tytule napisać „Staraniem L. Rzepeckiego“. Miłą jest wdzięczność dla maluczkich: na ostatniej stronie dzieła znajdujemy nazwisko składającego: p. Cymaniaka Linkiewicza. Dodać tu jeszcze potrzeba, że pomimo zaofiarowania dzieła ostatniemu z Działyńskich, Janowi, wydawnictwo, przy nadzwyczajnej kosztowności swojej, z ciągłymi trudnościami walczyć musiało.

Czwarty zeszyt *Gramatyki* ukazał się dopiero w końcu 1870 r. Dzieło całe o 45 arkuszach ścisłego druku, w formacie wielkiej słownikowej ósemki, z czterema tablicami wszystkich rodzajów pisma słowiańskiego, stało przed krytyką. Krytyka, chcącniechcąc, znać musiała przedewszystkiem wiedzę i pracowitość autora, a uznanie to spotęgowała jeszcze okoliczność, że Malinowski, mając już wtedy wzrok prawie gasnący, *Gramatykę* swoją dyktował i wiele drobiazgowych faktów podawał z pamięci, bez odświeżenia ich u samych źródeł.

(Dokończenie nastąpi).

## SAMA JEDNA

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Okazał nawet pierwszy raz w życiu, pod wrażeniem uczucia, które było głębsze i prawdziwsze, bo na poszanowaniu oparte — więcej przebiegłości i sprytu, niż kiedykolwiek. Z rozmaitych poszlak, rozpytywań, z tego, co mu Virey opowiadała o Brzegach i Tarkowskich, z opisu arendarza, jak wyglądał ten ktoś, co w nocy z bryczką odjechał — pierwszy Julek doszedł, że nikt inny nie ułatwił ucieczki, tylko stary rządca z Brzegów. Matka wysmiała go i zakrzyzczała, lecz ojciec popierał.

Julek teraz, gdy Ludmiła w officynie nie było, codziennie chodził do zajmowanych przez nią pokojów i napawał się wspomnieniami, z czego Celina nielitościwie się wysmiewała, a chłopiec był dumny.

Hrabia, aby żony nie drażnić, unikał wszelkiego o synowicy przypomnienia; lecz ilerazy żona występowała ze swemi przypuszczeniami, albo się odwracał albo wychodził. Gniew na Ludmiłę pozostał w sercu hr. Alfonsyny tem silniejszy, iż spodziewała się w początkach, że hr. Zygmunt, zapomniawszy o zbiegłej, zwróci się do Celiny. Tymczasem Zygmunt prawie zupełnie bywał tu poprzestał. Cesia, urażona, głęboko to uczuła. Obie z matką powtarzały, że aby się zepsutym mężczyznom podobać, potrzeba było być zepsutą, jak Ludmiła, intrygantką zręczną, jak ona i t. p.

Virey, neutralna zawsze, ani za ani przeciw się nie odzywała. Pochlebając we wszystkim hrabinie, Celinie potakująca — w tej jednej okoliczności przemódz się niemogąc, i bładym uśmieszkiem wyrażając zgodę na to, co mówiono, nie dawała od siebie nic na potępienie biednej sieroty.

Tymczasem hrabiemu, który kiedykolwiek potrzebował się odświeżać podróżą do Warszawy, wypadła, jeśli nie potrzeba, to zręczność zrobienia małej wycieczki. Na wsi poczciwy hr. Kanty wiodł życie wygodne, przyjemnie urozmaicone marzeniami, o których była mowa, ale czuł, że gnuszał i zamierał. Konie, psy, dobry stół, czasem mała gra — ledwie go z apatycznego odrętwienia wyprowadzić mogły. Godzinami czasem z cygarem siadywał przed stajnią, pół drzemiąc, pół marząc, ludzi wołając i rozsyłając, niby czemś zajęty, a w istocie obumarły.

Wycieczka do Warszawy zupełnie go na chwilę przeistaczała: j! powracał jakby do kawalerskie-

go swego życia, rozweselał się, ocuczał z letargu, poruszał i udawał młodego.

Hrabina patrzyła na to przez szpary, bo wiedziała, że ta emancypacja krótkotrwała, budziła pragnienie tem większe błędnego spoczynku pod pantoflem. Kanty wracał zmęczony i zasiadał z rozkoszą do błędnich marzeń — o niczem.

Kilka, kilkanaście dni w Warszawie ze starymi znajomymi, na obiadach, wycieczkach, na małej grze i — nawet w mniej dozwolonych towarzystwach, do których się nie przyznawał, oddziaływały dobrze na jego zdrowie, a czyniły go potem potulniejszym w domu. Żona więc nie sprzeciwiała się im wcale, dawała sprawunki, zalecała dobre prowadzenie się, jak studentowi; naznaczała czas powrotu — i puszczała męża, spokojna o to, że do łańcucha się stawi w porze. Tymrazem powodem, a bardziej jednym z powodów wycieczki było umieszczenie Julka przy czy w uniwersytecie; jechał Buczyński, który i nadal miał czuwać nad nim; jechał bardzo szczęśliwy z tego młodzień-

Pedagog bardzo dobrze wiedział zawczasu, iż jego wychowaniec żadnych egzaminów wymaganych zdać nie będzie w możności. Julek też nie łudził się nadzieją — ale właśnie dlatego, iż egzaminów żadnych zdać nie mógł, był pewnym, że go w Warszawie zostawią z Buczyńskim, a wówczas!!! Raj sobie obiecywał. Pedagog był zawojowany.

Hrabia swą powagą, imieniem, wpływami spodziewał się wyrobić Julkowi, co zechce. Zdało mu się, iż dobre śniadanie stanie za examenem.

Oprócz innych wszelkich przyjemności wielkiego miasta, Julek miał i to na widoku, że — może się coś dowiedzieć o Ludmile, gdyż przeczuwał, iż ona bardzo mogła się umieścić w stolicy. Buczyński się z tego śmiał, mrużąc, że w Warszawie innych Ludmił pełno będzie, a o tej Julek zapomni; tymczasem wybrano się w drogę, każdy z inną myślą — dosyć rażno i wesoło.

Zacny hr. Kanty miał to w obyczaju, że gdy spod cienia skrzydeł żony się wyzwolił, niemal od pierwszego popasu zmieniał się bardzo szczęśliwie. Zbytnią a sztuczną powagą opuszczała go, był już wesoły, łatwy, dobroduszy. Podróż więc w najlepszych odbyła się warunkach. Buczyński nawet mógł swobodniej się poruszać, wywany był do rozmowy i bawił hrabiego, który wszystko, i smutnego pedagoga, znajdował zabawnym.

Julek swą żywością, trzpiotowatością brał górę nad wszystkimi i niemal sam kierował podróżą.

Znał on już trochę miasto, bo ki lkarazy w niem krótko gościł, ale teraz — miał w niem zamieszkać, zajmowało go więc daleko silniej. Troskliwa matka wymagała od Buczyńskiego słowa, że ucznia od siebie na krok nie puści, że samemu latać nie pozwoli; ale w Warszawie Julek, wcale nie zważając na to prawo macierzyńskie, odrazu nadał sobie swobodę zupełną.

Pierwszego dnia rano, nim jeszcze coś o egzaminach postanowiono, wymknął się o godzinie dziewiętej rano i nie powrócił aż o pierwszej. Z Buczyńskim przyszło do okropnego starcia, ale Julek wręcz mu w oczy rzucił, że nianki nie potrzebuje.

Drugiego dnia powtórzyło się toż samo. Ojciec tymczasem wpływy swe w ruch wprowadzał, aby owe egzamina do najpraktyczniejszych doprowadzić rozmiarów. Wieczorem, gdy hrabia stary powrócił do hotelu, po kawalerskiej wieczerzy z dawnymi przyjaciółmi, w humorze, w siłach, jakby o lat kilkanaście odmłodzony, i śpiewając wszedł do pokoju, w którym Buczyński się kłócił z Julkiem, syn poskoczył ku niemu obcesowo i krzyknął:

— Wie papa! słowo daję, jak ojca kocham, widziałem, spotkałem Ludmiłę.

Hrabia cofnął się aż.

— Eh! — zawołał, powątpiewając — śni ci się.

— Jaktó, śni? co to śni? czy ja oczów nie mam? krzyknął syn — mówię ojcu, widziałem ją. Sza! trotoarem, z teczką pod ręką, ubrana bardzo skromnie. Zaraz ją poznałem i chciałem się zbliżyć, lecz zobaczywszy mnie, tak przyspieszyła kroku, rzuciła się w ciasne uliczki, i znikła mi, że — nie było sposobu dogonić.

— Mówiłeś z nią? — zapytał ojciec,



— Ale jakże mówić miałem, kiedy nie mogłem dogonić?—rzekł Julek.

— No! to ci się przysniło!—rozmiał się hrabia.  
— A czegoż-by uciekała, gdyby to nie była ona?—rzekł Julek.

— Dziecko! każda kobieta ucieciwa, ucieka, gdy się widzi ściganą—z pewnym szyderstwem—dodał hrabia.

Julek się uraził mocno.

— Proszę ojca—ależ ja oczy mam, a znówu takich panien, choćby i w Warszawie, któreby za Ludmiłą można uważać, niema wiele.

Stary się rozsmiał i znalazł to dowcipnem, ale w synowicę, znajdującą się w Warszawie, mimo to nie uwierzył.

Nie śpieszono zbyt z examinami: hrabia, dlatego, ażeby mógł dłużej posiedzieć w Warszawie, Julek, bo się ich obawiał; Buczyński, w przekonaniu iż fatalnie wypadną. Jednego dnia, gdy się późno już zeszli wszyscy, hrabia Kanty, bardzo chmurny i posepny, palił cygaro, siedząc w fotelu. Można było posądzić go, iż już znudzony tęskni za spoczynkiem domowym.

Buczyński lękał się wymówek, bo Julek już dał dowody nieudolności.

Tymczasem hrabia, nagle wychodząc z zadumy, rzekł do niego:

— Miałaś słusność, młokosie, he! Ludmiła jest w Warszawie.

— A ha! a co? widzi ojciec! — tryumfująco odparł Julek.

— Spotkałem się i ja z nią, mówiłem nawet,—dodał smutnie stryj—ale ani gdzie mieszka ani co robi, nie chciała mi powiedzieć, i zastraszyła, że jeśli się o nią dowiadywać zecheć—ona miasto opuści. Ot—i tyle—westchnął hrabia Kanty. Nawet się dobrze o nią nie mogłem rozpytać.

Julek się uniósł.

— Jeżeli ja w Warszawie zostanę—zawołał—daję ojcu słowo, że dojdę i gdzie jest i co robi.

Buczyński przerwał z kąta:

— Jeżeli my zostaniemy tu, to p. Julian będzie miał co pilniejszego do roboty, aby czas stracony nagrodzić.

Ojciec głową potwierdził, Julek w głos się rozsmiał.

Spotkanie z Ludmiłą, o którym już więcej hr. Kanty nie mówił, poskutkowało na niego dziwnie! Zaządał powracać do domu—był już znudzony, chmurno patrzył, ziewał i puszczał się już tu w te marzenia mgliste, które zwrót ku normalnemu stanowi znamionowały.

Julek pozostawał z Buczyńskim, dla przygotowania się do examinów, co miało trwać: pół roku, rok, nie umiano obrachować! Hrabia powracał z takim upragnieniem na wieś, z jakim jechał wprzód do Warszawy.

Nie należy to do ram opowiadania naszego: jak się tu pan Julian pód niedolęzną opieką pedagoga urządził, jak sprawował i co go głównie zajmowało. Wiemy tylko, iż wspomnienie panny Ludmiły tak dalece się nie zatarło i niepokoiło go zawsze, że pod pozorem pokrewieństwa, nie mówiąc nic Buczyńskiemu, poszedł dowiadywać się o nią aż do urzędowych źródeł.

Rodzina Sciborów, jak bardzo wiele innych starych rodów, przy nazwisku przyjętem od imienia znakomitego protoplasty, dzieliła się na kilka galezi, z których każda od majątności posiadanej przybrała nazwę drugą. Sciborowie, o których mowa, zwali się, z Brzegów, które posiadali, Brzegskimi i Brzeskimi. Julek albo o tem nie wiedział, lub mu to wyszło z pamięci, szukał więc panny Ludmiły Sciborzanki i nie znalazł jej nigdzie. Zapewniano go, iż osoba tego nazwiska nie znajdowała się w Warszawie i chwilowo chyba przebywać mogła w tem mieście.

Tak się skończyły badania i poszukiwania Julka, który wkrótce potem, poznawszy córkę profesora, szalenie się w niej rozmiłował i o pięknej kuzynce zapomniał trochę.

Z *dziennika Ludmiły*.—„Sama jedna! — W tych wyrazach mieści się i pogróżka i bodziec dla mnie. Sama muszę sobie starczyć, myślą, radą, czynem i opieką. Byłam niemi przerażona w początku;

teraz napelnia mnie wyrok ten dumą, technie we mnie mężtwo.

W domu stryjostwa Kantych dłuższy pobyt był niemożliwym. Było to zaparcie się wszelkiej przyszłości, wszelkiej samoistności, była to ozłocona łaskawym chlebem niewola, z którą się pogodzić było niepodobieństwem. Czekano na tam zmarnowanie się, odrętwienie, służebnictwo jakieś. Wiem, że hr. Alfonsyna chciała się uwolnić odemnie, prawdopodobnie przyzwitoem umieszczeniem u Kanoniczek, gdziebym w bezczynności i śnie mogła sobie zestarzeć, nie uwłączając rodzinie, która woli takie skazanie na śmierć powolną, niż na pracę i walkę z ich wyobrażeniami niezgodną.

Ażeby im oszczędzić przykrości tej, iż hr. Sciborzanka, musi na chleb pracować, i stanąć na równi z tymi, co go nie mają, rzucam tytuł zawadzający mi, nazwisko zamilczam, zostaje sobie panną Brzeską—nie więcej. Mam prawo nosić to nazwisko.

Przykro mi było tak jak winowajca jaki uchodzić od nich potajemnie. Lecz innego nie było sposobu. Stryj-opiekun nie byłby pozwolił mi opuścić swojego domu. Poczciwy Tarkowski nawet, który wiedział co ja tu cierpiałam, choć zadawane mi szpilkowe ukłócia nie były bardzo widoczne—przeciwnym był takiemu samowolnemu rzucaniu się na niepewne losy. Postawiłam na swoim.

Noc ta pozostanie mi pamiętną nazawsze. Stanowiła ona o zerwaniu z rodziną, z położeniem, ze światem całym a przejściu do tych otchłani, w których tłumy czekają i pracują na wyzwolenie.

Musiałam klamać i ukrywać się w ostatnich dniach, czynić przygotowania potajemnie, pakować i pieczętować po nocach, pozbywać się służącej, zwodzić tych, co mnie szpiegowali. Kosztowało mnie najwięcej to, iż musiałam, rozstać się z wielą pamiętkami drogiemi. Zabierać je wszystkie, było niepodobieństwem. W te podróże zdobywczą lekko się wybierać musiałam, jak żołnierz na kampanię. Nie zginą te pamiętki, lecz ich widok byłby mnie krzepił i dawał siłę.

Spali wszyscy we dworze, gdy mociemku, z bijącym sercem musiała drzwi otworzyć i iść szukać bryczki poczciwego Tarkowskiego, która na drodze za officyną czekać mnie miała. Genowefa, płacząc, porwała mnie nadchodzącą. Nie mogłam przemówić słowa, Tarkowski bezsilną podniósł mnie do bryczki.

Obawiałam się pogoni; ale któż mógł gonić za mną? Jeden stryj Kanty może, który żał do mnie mieć będzie.

Małenkie zawiniątko miałam tylko w rękę. Jechałszy noc całą aż do rana, a gdy koniom potrzeba było spoczynku i mnie Genowefa układała na sianie, zasnęłam mocno, a że Tarkowscy budzić nie chcieli, spałam prawie do wieczora.

Do Brzegów jechać nie mogliśmy; chciałam od razu do Warszawy. Tam nie miałam nikogo, oprócz mojej dawnej bony i pierwszej nauczycielki Domki Gorawskiej, która oddawna mieszkała, posiedszy za mąż w Warszawie. Myśmy ją niegdys, idącą za mąż, i na swój chleb, wyposażyli: mogłam rachować na jej przywiązanie, ale się nie ludziłam, aby wiele dla mnie uczynić mogła. Gorawski służył w jakimś biurze, mając troje dzieci; środki bardzo szczupłe: mnie ich serca tylko trzeba było. Tarkowski wiedział, że Domka mieszkała na Wiejskiej ulicy; ale do nich się wprost udać i narzucić biednym nie można było.

Ja, od czasu, jak wyszła z naszego domu, mojej pierwszej opiekunki nie widziałam. Pamiętałam ją rumianą, świeżą, hożą, wesołą, śpiewającą, bawiącą mnie swemi opowiadaniem, a taką serdecznie dobrą i tak się przywiązującą, tak umiejącą i potrzebującą kochać! Męża jej nie pamiętałam wcale. Dochodziły do Brzegów wieści, że była szczęśliwą choć dosyć ubogą, że mąż człowiek był dobry, tylko trochę zapowolny i biurową pracą w machinę przeistoczony.

Zajechaliśmy do Hotelu Saskiego, a Genowefa podjęła się Domkę wyszukać i przyprowadzić do mnie. Mój ojciec! Czyż się ojciec nieboszczyka mógł spodziewać i przewidzieć, że jego jedynaczka u tej Domki szukać będzie musiała — pomocy i opieki!

Jakże się ona zmieniła! gdyby nie wyraz tej

pocziwej twarzy i nie głos, byłabym jej nie poznała. Z płaczem biedne kobiecisko do nóg mi się rzuciło.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## MARYA ANNA CROSS

(Jerzy Elliot).

(Dalszy ciąg).

Nietylko jednogłówny głos całej niemal prasy angielskiej uznaje *Młyn na Floss'ie* za autobiografią, ale każdy czytelnik, będący choć trochę psychologiem, dochodzi do przekonania, że ten obraz życia dzieciennego, oddany z cudownie malowniczym realizmem w najdrobniejszych swych szczegółach, musi być odtwarzany z natury. Dzieje późniejsze, losy Maggie Tuliwer już dorosłej: tej, która po okrutnej katastrofie śmierci ojcowskiej wraca pomiędzy rodzinę, w lat kilka, spędzonych między obcemi na pracy nauczycielskiej, rysują się już inaczej. Tam może być fikcja: dobrze, zajmująco napisana, ale bez tej plastyczności w oddaniu ludzi i miejsc, bez tego pulsu życia, który czujemy. Jak kobiecie przeszło czterdziestoletniej (*Młyn na Floss'ie* wyszedł 1860 r.) kobiecie myślicielce głębokiej, która nie była nigdy matką, nie otaczała się nigdy dziećmi, komponować tak z dnia na dzień losy malutkiego dziewczątka, przenikać się tak doskonale jego ukochaniami, wstęptami, wrażeniami doznawanymi, aby powstał z tego dramat, posiadający rzadką siłę wzruszania serc ludzkich? Końcowe rozdziały książki, tragedya finału znów drga życiem, znów porywa jak prawda. Ta nieszczęsna Maggie, namiętna, gorąca, która daje się unosić wrażliwemu temperamentowi, popędom ognistych porywów, umiejąca wprawdzie powstrzymać się w połowie drogi, ale już po to tylko, aby żałować, cierpieć, znosić smutne skutki oskarżających ją pozorów, ta Maggie, to znów żywa kobieta, która wyrosła z tamtego dziewczątka i której losy tłómaczą się dziejami jej dzieciennego żywota. Nie grzeszna ostatecznie, a jednak z plamą zakały na czole; nie grzeszna przynajmniej tak, jak przypuszcza małoduszna gawiedz, a jednak niemogąca już istnieć wśród rodzinny swej okolicy: w powieści ginie bohaterem zgonem wśród fal wzburzonej rzeki, zyskując sobie w uścisku wspólnej śmierci przebaczenie nad wszystko ukochanego, a jednak tak samo jak inni odtrącającego ją brata, lecz w życiu rzeczywistem, jakże było?

Ludzie przypuszczają, że dwudziestoletnia Marya Evans, która zjawia się nagle w Londynie, nikomu nieznaną i znajomości niczyjej nie szukającą, to ona—to tamta, która usłuchała nareszcie rady życzliwego jej księdza, przekonawszy się wkońcu, że bezskutecznym i daremnym był jej dumny opór przeciw uprzedzeniom ludzi, których pojęcia o moralności skryształizowały się w formę przyjętego obyczaju. Nie przeparała ich, bo jedynostka odosobniona nie przepze nigdy wszystkich: wszystkich, upominających się o nienaruszalność praw, postawionych na straży społecznego między ludźmi stosunku, i może tylko w ostatnią noc przepaną wśród miejsc rodzinnych biedna wygnanka marzyła koniec tragiczny w nurtach rzeki ojczystej, aby przecież wstawszy nazajutrz rano, puścić się z prądem innego strumienia—zanurzyć się samotnie w milionową ludność wielkiego miasta, gdzie ludzie nie mają czasu, myśleć o sierotach bez opieki, o nieznanach, biednych istotach, przychodzących walczyć tu z losem. Ale ona miała charakter silny, miała tęgość woli rzadką, a nadto posiadała w sobie iskrę wielkiego talentu i wydostała się na wierzch, wypłynęła szczęśliwie i mogła powiedzieć, że dobiła do wspaniałego portu, gdyby życia tego nie krzyżowała znówu smuga czarna, rzucająca na całą postać cień ponury.

Około 1850 r., jak się zdaje, bo dat wyraźnych uchwycić tu trudno, stosunek jej przyjaźni z Jerzym Lewesem zmienił się i wszedł w fazę nową,



drażliwą. Uczony ten był wtedy człowiekiem młodym, ale miał już żonę, miał dzieci, aż naraz żona ta odjechała go, opuściła, zabierając ze sobą dwóch synków i córeczkę, a jak głos ogółu orzekł, stało się to z powodu zazdrości dla Maryi Evans, wtedy już Jerzego Elliot.

Obrażona małżonka miała być piękną, miała być młodszą od tej, już trzydziestoletniej, której rysy były nieforemne i która przez grubość ust, przez silne rozwinięcie szczęk dolnych, była brzydota bliżką. Bronił ją od tego jedynie wyraz twarzy rozumny i życia pełen, oraz uśmiech bardzo przyjemny, słodki i łagodny, zdobiący usta zawsze świeże i koralowe, bo Marya Anna miała zdrowie silne, budowę mocną, opierającą się zwyciężko trudom olbrzymiej pracy. Już w tych czasach, gdy posiadała żadaną wiedzę, gdy miała majątek, pracowała osm godzin dziennie.

Przyjąć też trzeba, że zazdrość żony nie miała podstaw dostatecznych, usprawiedliwiających czyn tak gwałtowny i może to do tego a nie innego faktu odnosi się smutna spowiedź Maryi Anny, zawarta w końcowych rozdziałach *Mignu na Flossie*? Może ona walczyła właśnie na korzyść tej, która widziała w niej niszczycielkę szczęścia swego, może usiłowała zwrócić go jej, to szczęście wydarte mimowoli, bezwiednie, gdy krok podytowany przez rozpacz rzecz udaremnił? W powieści Łucya rozumie Maggie Tuliwer i w tajemnicy przed światem przychodzi ją ucałować w chwili rozstania się ostatniej; czy przecież tak było w życiu?

Po katastrofie Marya Anna wyjechała na łódź, puściła się w podróż po Niemczech, ale Lewes znalazł się wkrótce obok niej i wtedy-to z zebranych na miejscu materiałów napisał życie Goethego, które literatura nasza posiada w przekładzie. Amelia Bölte, literatka niemiecka, należąca do falangi odważnych i wolnościowych, wydalonych z Niemiec przez wypadki polityczne w 1848 roku, przebywając w Londynie, znała dobrze miss Evans i Lewesa i opisuje z wielkim wyrazem żalu chwilę niespodziewanego ich spotkania w Dreźnie. Żałuje silnie tamtej kobiety, której serce zostało rozdarte; żałuje niemniej Maryi Anny; o Lewesie wyraża się surowo i na niego zwała całą winę nieszczęścia. I on podług jej opisu był brzydki, stanowczo już brzydki: mały, silnie ospą zeszpecony, miał ogromną czuprynę kasztanowatych włosów, które nosił a la Liszt, to jest długie, z czoła w tył odrzucone, co, podnosząc oryginalność jego postaci, czyniło ją jeszcze brzydszą. Aniela Bölte oskarża go, że oplątał niegodnie życie Maryi Evans, że stał się nieodstępny jej cieniem przez próżność, żądającą zawsze tryumfu nad tem, co wysokie, silne, co posiada moc oporu szlachetną. Jak było rzeczywistość, czyje winy tu przeważają? — nikt już dziś nie odpowie. Mąż zmarłej pragnie jednak rzucić jakieś światło w mroki tej smutnej historii, chce snadź usprawiedliwić przed światem kobietę, która poszła do grobu z jego nazwiskiem, i prasa angielska zapowiada jej życiorys, który on zamierza napisać. Czy przecież i tu nawet może być prawda?

Szukać jej trzeba już tylko we własnych zmarłej zeznaniach: w wyznaniach jej wiary moralnej, mieszczących się wśród jej dzieł. Lecz tam uczucie miłości czystej, wiernej, podniosłej, malowane jest zawsze bardzo żywo, bardzo gorąco, a razem silnie, z wyrazem najgłębszego przekonania. A miłość ta, raz przysięgą małżeńską związana, to już obowiązek nigdy i przez nic nie uchylony, dla którego niema rozwiązania. W *Middlemarch*, najrozsądniejszem i po *Romoli* najpiękniejszem jej dziele, a które można nazwać monografią małżeństwa, Dora, szlachetna, piękna postać kobiety, przedstawia zasadę takiej niezłomności obowiązków małżeńskich. Jej zamążpójście było wielką omyłką. Młoda, sądząc nieumiejąca, w pogoni za wysokim ideałem, związała się nierozważnie z człowiekiem samolubnym, którego serce okazało się oschłym, umysł ciasnym, charakter niskim; a jednak ona, mimo skrytej w sercu miłości dla innego, młodego, pięknego, szlachetnego człowieka, Władysława, stoi silnie przy obowiązku, spełnia go do chwili ostatniej. Los ją uwalnia od ziemnego, egoistycznego pedanta, lecz czujemy, wie-

my zawczasu z pewnością, że gdyby tak się nie stało, onaby jednak nie uległa, nie porzuciłaby przykrego, podejrzliwego, podstępного starca i z pełnią młodego życia w piersi, z pełnią gorących uczuć w sercu, byłaby się skazała do końca na smutne, żadną pociechą, żadną nagrodą nie rozjaśnione, istnienie wiecznego wdowieństwa po ukochaniach, po nadziejach swych młodocianych. Nawet gdy inna kobieta, słaba, lichą, pospolita istota, ma się osunąć w dół i upaść, a upadku tego sama pragnie, przyzywa go, chyli się już ku niemu, Dora nietylko nie bierze z niej zemsty, do której ma możliwość, choć nieprzyjaciółka to jej jest, cieri w ranie jej serca, ale w porywie szlachetnym, aby „zbawić tę duszę“ ciska się między nią i winę: podnosi, ratuje, broni od nieszczęścia i grzechu. W dziełach fikcyi nie znam szlachetniej pomysłanej postaci jak Dora i piękniejszego obrazu, jak owa chwila nawrócenia przez nią Rozamundy. Piękniejszą jest chyba scena wyznania miłości między Dorą, już wdową, a Władysławem.

I wszędzie tak: wszystkie kobiety szlachetne, wyższego ducha, wyższego polotu myśli są wierne małżonkami. Gdy Romola spostrzeża, że mąż, któremu ślubowała, zwiedziona pozorem, jest podły, wtedy jeszcze — choć miłość już znika — trwa w obowiązku. Na ognisku jej domowym zagasło płomień, dające życiu ciepło i światło: niemniej ona, córka rozkosznej Florencyi, nie szuka pociech drobnych, małych wynagrodzeń używania. Staje się służebnicą Savonaroli, zbiera po ulicach miasta dotkniętych zarazą, idzie za nimi do szpitala, piękna jak Wenus, mądra jak Minerwa, dostojna, sławna, zostaje pokorną siostrą w bractwie miłosierdzia, bo jej życie, złamane przez małżeństwo z nędznikiem, nie ma już przed sobą żadnych horyzontów szczęścia.

A dla kobiet innych: dla kobiet upadłych i niewiernych, jak ciężka jest w dziełach Jerzego Elliot, pokuta, jaki straszny przegierz, jakie okrutne piętnowanie! *Felix Holt, radykalista* (wydany w 1866 r.) jest to najposępniejszy dramat domowy, jaki wymarzyć można. Matka, wyniosła wielka pani, ukarana: najpierw palącym rumieńcem wstydu wobec szlachetnego syna, potem jego rozpaczą, i już tylko litością, z dawnych uczuć dla niej w sercu mu pozostała a pogardą, wstrętem dla człowieka, który wobec praw boskich i ludzkich powinienby mu być przedmiotem czci i miłości.... Wszystko to razem stanowi, aż pognębiającą tragedją pokuty cięższej może niż ją przenosi ta *Skazana*, którą świeżo przedstawił nam pędzel, talentu pełen, w szacie więziennej i z tablicą ohydy na piersiach przed tłumem postawioną.

Mylą się też niektórzy, podając, jakoby Marya Evans wzięła sobie do literackiego pseudonimu imię *Jerzy* przez uczucie braterstwa duchowego z Jerzym Sand. Nie, braterstwo to nie istniało w nich, prócz chyba w równej wielkości talentu obydwóch tych kobiet, ale go niema ani w uczuciach, ani w zasadach, w poglądach na życie, ani w życia tego praktyce żywej. Świat cały różnie istnieje jeszcze między jedną a drugą i Jerzy Elliot, cokolwiek można powiedzieć przeciw niemu w processie, jaki sąd potomności wytoczyć mu musi, to jeszcze nie Jerzy Sand: nie ta potwornie po sercach ludzkich, po sercach poetów, Musseta, Szopena deptająca kobieta, która też i w pismach swoich zna tylko jeden obowiązek, ma tylko jedną religiją — religiją piękną.

Fałszywie sądziła Jerzego Elliot krytyka, francuzka właśnie. Na zasadzie tego, co w *Middlemarch* napisanem jest o wpływie otoczenia, o oddziaływaniu na losy ludzkie przyczyn dalekich, tak często bijących na nie, jak ruch fal, kędyś, kędyś poza granicami wiadomości naszej poruszonych, oskarżano ją w rozbiórce tej powieści, zamieszczonym w *Revue des deux mondes* o determinizm, o wyznawanie fatalizmu materialistycznego; przeciwnie, w tem właśnie jej dziele położony jest nacisk silny, szczególny na tę siłę, którą posiada sumienie ludzi szlachetnych: na siłę, przez którą opierają się złemu, podnoszą ponad nie i trzymają się dróg cnoty. W pierwszym zaraz rozdziale, który nam przedstawia dwie siostry: piękną, szlachetną Dorę i ładną jak koteczka, jak koteczka biorącą życie Celię, różnica między nimi zaznacza się właśnie

przez różny stopień naprężenia w ich moralnem poczuciu się do obowiązku. Dora zręka się na korzyść młodszej siostry wszystkich klejnotów rodzinnych; Celia, zrazu zadziwiona tem tak bardzo, że aż niemogąca pojąć, zrozumieć tak wielkiej wspaniałomyślności, doświadcza z początku pewnych skrupułów sumienia: czy jej godzi się korzystać z hojności siostry? Gdy przecież, wśród objawów tego stanu jej ducha Dora, biorąca na prawdę opieranie się Celi, wybiera sobie spośród kosztowności wyższej ceny drobnotę jedną, krzyżyk jakiś bardzo niewielkiej wartości, głównie jako pamiątkę po utraconej dawno matce Celia ucuwa się nagle tak pokrzywdzoną, jak gdyby ją zrabowano z własności. Wyobraźnia przedstawia jej szybko strój, wśród którego użyłaby z wielkim dla wdzięków swych pożytkiem tego klejnociku, i posuwa się nawet tak daleko, że daje to poznać siostrze. Ale Dora już teraz zostaje przy swoim: dotyka ją przykro samolubna pretensya Celi i głównie dlatego już się nie cofa. Przecięż po chwili szlachetna dziewczyna zaczyna ucuwać żal, prawie wyrzuty sumienia, które przecież ani drgnęło już w Celi. Owszem, odchodzi od Dory z uczuciem skrytej urazy, skrytego gniewu, a sumienie tej ładnej osóбки, zagłuszone przez jej próżność, egoizm i chęć posiadania, zdobywa się tylko na sofizmat, którym sobie swoją lichą pożądlivóść tłómaczy. — Bo na co jej ten krzyżyk, jej, która się tak nie ubiera, tak niby o strój nie dba? Ona, Celia, oh! to co innego, ona umiałaby tak zużytkować ten klejnot.... Wzdycha też i odnosi z całej ofiary, na jej korzyść uczynionej, tylko przykre wrażenia straty, braku, niedoboru...

To prolog do powieści; grają w niej wśród wyższych, większych poświęceń, wyższych, większych abnegacyj, te same siły: nizkość i egoizm jednych przeciwstawia się szlachetności, ofiarności drugich. Wyzyskiwani i wyzyskujący odgrywają dramaty jak świat, jak ludzkość stary. Rozamunda, typ tej nicości, małości kobiecej, jakiej szlachetnym pierwowzorem jest Dora, i mąż tej pierwszej: cudnej pani o łabędziej szyjce, młody, uczony lekarz z sercem pełnem miłości dla ludzi, z głową pełną wielkich pomysłów, to też takie dwa sumienia stojące naprzeciw siebie. Tamten biedak zesłał: przez serce zbyt miękkie, przez skołatanie umysłu niezdolnego już w przynięceniu swym wykazać sobie, gdzie ustępstwa zaczynają być słabością, popadł w nędzę duchową. Zbrodni miał siłę się oprzeć; ale temu nie podolał, aby dreczony w pożyciu domowym, oskarżany ustawicznie o to, że jest złym mężem, bo nie dostarcza żonie na strój, na elegancją, na życie w świecie rozrywek i zabawy wiekuiestej, utrzymał się na wysokości swych szlachetnych zamiarów młodych. Ale za to Dora, za to Kaleb Garth, Marya jego córka i wreszcie Władysław, dotrwali: nie zstąpili z piedestału godności swej duchowej, utrzymali się na nim — przez siłę woli szlachetnej, przez głos wyższego niż w tamtych piersiach sumienia.

Ze wpływy otoczenia istnieją, że działają, że ludzie wywierają jedni na drugich to nacisk, to ich czarem swego uroku ciągną ku sobie, to wreszcie następstwami czynów swoich oddziałują na losy tych nawet, którzy w nich żadnego udziału nie mieli, temu ani Jerzy Elliot, ani nikt z rozumnych a nie ślepych ludzi zaprzeczyć nie może, i jest to falowanie życia, jest to w niem grą światła i cieni. Ze przecież człowiek ma w sobie moc, która, gdy chce, jest odporem dla wpływów zewnętrznych i pokus wewnętrznych, to prawda druga i ztąd-to ta wielka tragiczność w losach ludzkości, ztąd powstaje między niemi dola i niedola, zasługa lub wina. Przez to są źli lub tylko słabi, przez to są dobrzy i lepsi nad innych, lecz ci muszą już być zarazem i silniejsi. Powieści Jerzego Elliota dlatego zyskują na głębokości, że filozof i nie powierzchniowy badacz spraw życia, te wielkie przyuczyny, te wielkie moce duchowe w działanie wprowadza i oczom czytelnika widzieć je daje. *Adam Bede, Middlemarch* będą też czytane z równym jak dziś interessem za sto, za dwieście lat: póty, póki ludzkość będzie podobna do dzisiejszej w uczuciach, w porywach, w stanach swoich duchowych.

Gdy przecież wyciągnie się tu linią prostą od dzieł, do tej, która je tworzyła: od zasady życia do życia czynu i trafi się nagle na bolesną między



niemi niezgodę, ciemny jakiś obłok rozpościera się przed umysłem, sąd stać się trudnym, wyrok chwilej się na szali. Czy ta kobieta była obłudna? Czy może nie miała dumnej odwagi Jerzego Sanda, aby przyznać się jawnie do przekonań swoich? Może jej chodziło o pocztytność tylko i podporządkowała pióro swoje pod pojęcia moralne społeczeństwa angielskiego? Że nie była tak słabą, tak uległą okolicznościom, aby ją niosły przed siebie bezbronną, wykazuje już dowodnie ta siła, którą rozwinęła, torując sobie drogę przez życie. Że nie kłamie tego, co pisze, mówi każdemu z jej czytelników ów duch, który się z tych pism wylania, a który musi tak stać oparty mocno na prawdzie, jak zapal jej słów idzie z ognia jej piersi, jak siła, skończoność jej postaci, ich prawdziwość, ich żywotność powstaje z głębokości i ustalenia się, już nie chwiejnego, jej pojęć o życiu ludzkości. Ale jest jeszcze jedna moc, która nieraz tak kładzie swój ciężar na wadze losów ludzich, jak zwyciężki miecz Brennusa położony został na szali zwyciężonych Rzymian: namiętność. Namiętność zdolną jest wywrócić w jednej chwili wysoko wzniesiony gmach rozmowań i doskonałości moralnej. Jeżeli *Młyn na Floss'ie* jest rzeczywiście autobiografią, jak za tem przemawia nawet oddanie rysów Maryi Anny w Maggie Tuliwer, to znajdujemy klucz do smutnej zagadki. Jerzy Elliot od początku do końca akcentował silnie porwaność, namiętność zapamiętałą prawie siłę uniesienia, która od dziecka czyniła biedną Maggie nieszczęśliwą. Gorąca sercem, nie miała nigdy dość siły, aby się w tem powstrzymać, co pochodzącej z najszlachetniejszych pobudek, płynąc z najczystszych uczuć, stawało się przeciwieństwem w porównaniu z wykonanym czynem — złem. W tem tylko była mocną, aby potem to złe odczuwać; aby prawdziwym sofizmatem przed sumieniem nie zakrywać — aby cierpieć, pokutować i znosić bez skargi skutki postępu swego. Że jej inni nie rozumieli, że jej nawet przy odmienności natur rozumieć nie mogli, zaznaczone jest wybitnie w dziełach Maggie. Jeden tylko ojciec, on jeden i jedyny — on, którego charakteru, usposobień i temperamentu była wiernym odbiciem, ten ją zawsze odgadywał i dlatego też przebaczał jej.

(Dokończenie nastąpi).

## LISTY Z ZAGRANICY

przez

J. I. Kraszewskiego.

Sprawa kobiet. — Dumas i Girardin. — Postępy na tej drodze, w Anglii, Irlandyi, w Niemczech, Hiszpanii, Hollandyi, Rosyji, Austrii, Rumunii i Francyi. — Kwestya i jej rozwiązanie. — Przeważanie kobiet i — kobiety. — Apatya niemiecka. — Popularni pisarze. — Samarow i jego pamiętniki — Omyłki. — Galeria Schack'a. — Zbiory berlińskie. — Pani Thiers, pani Persigny. — Korrespondencya G. Sand. — Listy do Szopena. — Książę Galitzin ostatnia powieść Sanda nie wydana. — *Revue nouvelle*. Flaubert'a *Bouvard et Pécuchet*.

Nie podzielamy ani zdania tych, którzy chcą kobiety przykuć do kądzieli i kołyski, ani tych, co im radzi narzucić ciężar politycznej roli; kobiety, jak mężczyźni, zupełnie na równi z nimi, rodzą się jedne do skromnych obowiązków matek i żon, drugie do wyższych powołań. Niczego im wzbraniać się nie godzi, ale też do niczego ich zmuszać, a jaknajmniej do tej jałowej roli politycznej, która jest najczęściej złudzeniem, rzeczą bez istotnego celu, marnującą siły. Z tem wszystkim, ponieważ z powodu kwestyi „Kobiet, co zabijają, i kobiet, co głosują“, Dumasa, rozpiął się p. Emil Girardin o nowych zdobyczach na polu sprawy kobiet, nie możemy się wstrzymać od zapożyczenia od niego charakterystycznych faktów.

To, co pisze o Ameryce, jest mniej więcej znane. W Anglii przychodzi fakta następujące: Przyjmowanie uczennic do *University College*. Uniwersytet Londyński udziela im stopnie, od r. 1879.

W Manchester zabawiają się agitowaniem w kwestyi praw wyborczych. W Cambridge liczba uczennic wzrasta. W Liverpool hrabina Derby otworzyła Collegium dla kobiet na 360 uczennic.

Szkoła medycyny w Irlandyi wybrała na członków uniwersytetu kobiety trzy, licencjatki medycyny, między niemi Miss Jax Blake.

W Niemczech, w Hamburgu urządzono klinikę dla chorych, żeńska; takąż, w Berlinie założona przez p. Henryetę Hirschfeld z towarzyszką, również D-rem medycyny, w ciągu roku udzieliła 3,162 konsultacji 1119 osobom.

W Hiszpanii uniwersytet w Barcelonie uznał Senioritę Donę Dolores Allu, doktorem czy doktorką.

Stowarzyszenie pracownic kobiet przemysłowo-artystyczne w Hollandyi, pod przewodnictwem pani Menaldy Harmans. Wystawa prac w Leuwarden.

Dwie Rosyanki, pannę Okunkow i panią Bernadską w Paryżu uznano doktorami medycyny. Panna Okunkow broniła tezy o działaniu fizjologicznem eteru w zastrzykiwaniach zaskórnych i o użyciu jego w medycynie jako lekarstwa pobudzającego (excitans). Pani Bernadska broniła rozprawy z histologii.

Uniwersytet w Helsingforsie dał stopień doktorski pannie Rozynie Heykel.

W Austrii przywodzi Girardin ten tylko postęp, że w Kroacyi komitet sejmowy przyznał kobietom prawo być wybieranymi na członków gmin (rad municypalnych).

W Rumunii pięć panienek najstarsza z nich dziewiętnastoletnia, otrzymały stopnie (jakby to po polsku nazwać?) Bakalarek *es lettres* i *es sciences*.

We Francyi registr pań i panien graduowanych po różnych uniwersytetach jest tak długi, że go przepisywać nie podobna.

Girardin obstaje przy głosowaniu, przy dopuszczeniu do wszelkich możliwych praw. W zasadzie można się na to zgodzić i zapewne znajdzie się kilka istot zatabaczonych, w okularach, w niebieskich pończochach i t. p., które będą chciały korzystać z praw zasiadania, głosowania i mówienia. Lecz czy te prawa dadzą co niewieście, która ma swoje prawa daleko większe, daleko ważniejsze i dla społeczeństwa potrzebniejsze?

Cała ta kwestya, jak bardzo wiele innych w terażniejszych czasach, wikła się przez fałszywe pojęcia praw i obowiązków. W zasadzie przyjęto, że wszyscy mają prawo głosowania, wszyscy są równi, wszyscy są do wszystkiego.

Rodzimy się wprawdzie z przyrodzonym prawem do postąpienia tak daleko, jak sięgną siły nasze, ale — nie więcej. Wyrabiamy siły, potęgujemy światło, wpojmy wreszcie tę zdrową zasadę we wszystkich, kobiety i mężczyźni zarówno, że prawa się równoważą z obowiązkami i jedne rosną z drugimi i że rola matki nie a nie jest mniej dostojną niż rola prawodawcy. W bardzo wielu wypadkach owe prawa, o które się ludzie dobijają, są brzemionami obciążającymi tylko.

W pierwszej chwili dogadzać może miłości własnej zasiadanie na miejscu dotąd niedostępnem — i to zarówno kobiecie jak mężczyźnie; lecz prędko przychodzi rozczarowanie.

Nie wszyscy —śmy, niestety, stworzeni do wszystkiego: owszem, cała działalność ludzka polega na — podziale pracy takim, by każdy w tym zawodzie był użytecznym, do którego jest powołanym.

Niepojętą jest rzeczą, iż prawdy tak elementarnej, tak jawnej, niepotrzebującej dowodzenia, znaczniejsza część ludzi nie chce zrozumieć i o niej się przekonać. Kogo Bóg stworzył trawą, nie może być dębem, a nie rozumiem dlaczegooby duży dąb miał być czemś lepszym od małej trawy. I jedno i drugie jest na świecie potrzebnem.

Umieć w sobie znaleźć powołanie, ograniczyć się niem, spełniać je gorliwie, z miłością, z przejęciem się z poświęceniem: może być co nadto piękniejszego?

Pani Staël, której Napoleon kazał gwałtem być tylko matką, byłaby zgrzeszyła, idąc za jego rozkazem; pani Herschel bardzo właściwie poświęciła się astronomii: dlaczegooby panna Okunkow nie miała być doktorem medycyny? ale czy

dlatego wszystkie nasze śliczne Zośki i Basie mają o bakalaureaty się starać? — Nie rozumiem!

Rozpocząwszy od tak wielkiej kwestyi, sam teraz nie wiem jak zstąpić na niziny zwykłego sprawozdania z życia powszedniego.

Życie to płynie w Niemczech dosyć spokojnie, a raczej pełźnie sobie zółwim krokiem. Jak w dobrze urządzonej machinie, rzadko koła skrzypną, zgrzytną zęby i zaszeleszczą części składowe. Roznamiętnienie rzadkie, rezygnacya wielka. Nawet polityka, która ma w sobie tyle pierwiastków rozdrażniających, tu brana jest dosyć nazimno. Rzadko bardzo! książka bywa rozchwytaną i dożyje, jak w Anglii lub Francyi, wydań kilku, co dopiero kilkunastu!

Z pisarzy niemieckich niewielu ma ten przywilej, że się ich dzieła rozchodzą, rozkupują i przy ukazaniu się na świat ciekawość rozbudzają. Popularność kilku z nich jest zupełnie zasłużoną; inni winni ją przedmiotowi i treści dzieł, poprostu — skandalowi.

Do tych, których każde dzieło ma rozgłos i liczyć może na szersze czytelników koło, należą: stary Auerbach, Heyse, Freytag, Ebers, niekiedy Lindau, zawsze prawie Marlitt, i t. d. Prostej ciekawości winien powodzenie swe tak zwany Samarow (radzca Meding), który właśnie rozpoczął w jednym z dzienników frankfurckich ogłaszanie swych pamiętników z czasów służby przy dworze hanowerskim. Trochę zdziwienia wywołała ta okoliczność, iż sam się chwali tem, że czas jakiś kierował prasą, to jest rozporządzał funduszami zasiłkowymi, których rząd hanowerski za pewne usługi udzielał dziennikarzom. Z pewnem oburzeniem przyjęto naiwne to zwierzenie.

Pamiętniki Samarowa tym sposobem niewątpliwie zyskają czytelników. Będą się oburzać na nie, ale rozciekawiać. Zresztą Samarow niekoniecznie szczęśliwą obdarzony jest pamięcią i już mu dowiedziono, że popełnił grubych kilka błędów w faktach tak ważnych, jak np. operacya okarła króla hanowerskiego przez sławnego Gräfego, o której Samarow pisze, a która wcale miejsca nie miała. Innych podobnych *lapsus calami* kilka jeszcze mu wytykają.

Sławna galerja prywatna obrazów w większej części współczesnych malarzy niemieckich, hr. Schack'a, dotąd będąca ozdobą stolicy Bawarskiej, ma przejść do Berlina, gdyż właściciel ofiarowuje ją dla tak zwanej National Gallerie. Jest to dar znakomity, wysokiej wartości, o którego pobudkach nie wiemy. Dziwiają mu się wszyscy, ubolewają Bawarczycy, cieszy się Berlin, którego zbioru, już dziś bardzo piękne, pomnażają się codzień. Ofiary płyną. Niedawno Dr Schliemann przesłał cesarzowi jakąś część wykopalisk trojańskich. Nieocenione pergamenteńskie marmury i odlewy z wykopalisk olimpijskich, są także niemalą zdobyczą. Galerye obrazów tak dawnych jak nowych z bogactwami się pięknymi nabytkami. Berlin już dziś dla miłośników sztuki i starożytności obojętnym być nie może. Muzea jego niedawno powstały, nie miały czasu nabyć rozgłosu, lecz stoją na równi z innymi europejskimi. Galeria Drezdeńska wprawdzie po Augustie II i III, szczególnie ostatnim, odziedziczyła arcydzieła, ma perły pierwszej wody, lecz nie systematycznie składana.

Zbiory obrazów i dzieł sztuki z anektowanych stoliczek jeszcze dotąd nie zostały wcielone do muzeów berlińskich, lecz zczasem je zapewne pomnożą.

Śmierć pani Thiers, tej wiernej towarzyszki znakomitego męża stanu, dopiero na grobie jej wywołała ocenienie zasług niewiasty, której życie całe tak było zespolone z żywotem męża, że w cieniu jego zniknęła. Dawniej sztywno potrząsano sobie z tej kurateli nad Thiersem, żony jego i panny Dosne, jej siostry; dziś dopiero te dwie skromne, ciche, pracowite, ofiarne kobiety — zyskały należną im cześć i uznanie cnoty. Nie żyły one dla siebie, poświęciły się całe, czuwały, pielęgnowały człowieka, którego prace, cierpienia, losy wszystkie podzielały, nigdy się tem nie chlubiąc, nigdy nie występując na widownię.

Energicznego charakteru, pani Thiers umiała godność mężowską utrzymać i bronić jej. Gdy rząd, chcąc zapłacić za 16 Maja, ofiarował po-



grzeb zmarłemu Thiersowi kosztem rzeczypospolitej — pani Thiers odmówiła jego przyjęcia. Obrzęd poświęcenia posągu Thiersa w St-Germain i zaszła przy tem manifestacye dotknęły ją tak, iż wywołały chorobę, która była przyczyną śmierci.

Towarzyszka dni jasnych za czasów monarchii Lipcowej, nie odstąpiła męża w godzinach ciężkiej próby, na wygnaniu w r. 1851, w podróży pamiętnej po Europie czasu wojny, i po 24 Maja. Thiers nie szedł się, pracował wiele, nie licząc się ze zdrowiem, wiekiem i siłami; pani Thiers była jego sekretarzem, współpracownikiem, opiekunką; naostatek spadkobierczynią pozostałych rękopism, notat i dzieł, których myśl, plan i wykonanie stały się niejako jej wspólnymi. Panna Dosne nie ustępuje zresztą siostrze ani poświęceniem, ani innymi przymiotami, które zapewniają, że spadek po Thiersie zmarnowanym nie zostanie.

Obok tej pięknej w swej prostocie postaci niewieściej, już trochę z dawniejszej epoki, z jakimże smutkiem spogląda się na tę nieszczęśliwą panią F... z domu Persigny — owoc smutnych czasów ostatniego Cesarstwa!

Wydawcy dzieł pani Georges Sand przedsięwzięli zebranie jej listów do różnych osób pisanych; lecz liczne protestacye i przeszkody nie dozwolą korespondencyi tej uzupełnić. Z tego powodu dowiadujemy się, iż znaczną ilość listów G. Sand do Szopena, którą wiozła siostra jego do kraju, w sposób nieuprzednio legalny, można powiedzieć, wykradł i — zniszczył Alexander Dumas. Pani Sand najżywszą za to wdzięczność zachowała mu do zgonu. Lecz — co za szkoda! Nie mogły one poczekać gdzieś w ukryciu, ażeby wszystko dokoła wystygło i wymarło? Między innymi oponentami, sprzeciwiającymi się ogłaszaniu listów do siebie pisanych, wystąpił i książę Galitzin, zagrażając processem. Pierwszy tom listów miał się już ukazać, ale do nas jeszcze nie doszedł. <sup>1)</sup>

Pozostała, niewydana, ostatnią powieść autorki, (tytuł dotąd niewiadomy), nabyła podobno „Revue nouvelle“, która przeciwko wszelkim przepowiedniom, rozpoczęła drugi rok żywota i zdaje się, że ma przyszość przed sobą.

Drukuje ona także (razem z „Revue littéraire“) spuściznę po Flaubercie, romans jego „Bouvard et Pécuchet“, historią dwóch autodyktów, ograniczonych, dziecięcych, niby rozmiłowanych w nauce, chcących się oświecić, ale biorących wszystko powierzchownie, przerzucających się do coraz nowych zadań i t. p. Jestto obrazek psychologiczny, i śmieszny i smutny, a ze wzoru żywego z nadzwyczajną trafnością pochwycony. Jest w tem niezmierna prawda, lecz po odczytaniu dwóch pierwszych ciągów powieści następuje pytanie: czy ten kazus patologii zasługiwał na tak staranne odwzorowanie? czy dwóch z pozwoleniem takich niedowarzonych dudków, z największą finezyą artystyczną wyminiaturowanych, mogą zająć, mogą obudzić współczucie? Jako fotografia, obrazek jest nadzwyczaj wierny; nie rozumiemy tylko wyboru przedmiotu i poświęcenia takiej pracy zadaniu czysto-fantastycznemu.

Zawsze to rzecz ciekawa i czyta się z nznaniem talentu twórcy — ale z żalem pewnym. Czekaamy końca; ten może nam coś wytłómaczy.

## Korrespondencja zagraniczna.

Wiedeń, w Styczniu 1881 r.

† Krzczunowicz. — Rydzowski, jego testament. — Karnawał. — Nowy Rok. — Slizgawka. — Stowarzyszenie. — Bal dworski. — Wystawa na balu. — Wieczór błażeński. — Wykłady. — Flugtechnik. — Kolonia wakacyjne. — Teatra. — Nestroi. — Bauernfeld. — Nagroda Grillparzera. — Statystyka Teatru Opery. — Wystawa Sztuk Pięknych. — Kraszewski.

O czemże, jeżeli nie o karnawale?... Niema nic ważniejszego w zimie dla ludności tutejszej od

karnawału, niema poczytniejszej rubryki w dziennikach od sprawozdań balowych. Mimo to muszę zacząć od pogrzebu. Równocześnie prawie koło poselskie polskie utraciło dwóch pracowników, wartości pierwszorzędnej. Krzczunowicz i Rydzowski nie byli to geniusze, ale charaktery i zdolności tej próby, że dodawały wartości społeczeństwu, do którego należą. Uwolnienie od nadzwyczajnych ciężarów roli-żywicieli: to był ideał Krzczunowicza, jego specjalność, której całe życie poświęcił, jak pajak chodził po mapach katastralnych, rozesyłanych na posadze pokuju; ostatnią noc przesiedział całą, pisząc memoriał... i zaziębł się. Pan milionowy, wzorowy gospodarz, przykładny ojciec rodziny, niezłomny w przekonaniach, wielce dobroczynny w cichoci, robotnik pracowity aż na śmierć: oto nekrolog obywatela i człowieka prawnego. Ideałem Rydzowskiego było polepszenie doli ludu wiejskiego i rękodzielniczego przez wyzwolenie go z lichwy i podniesienie moralności publicznej. Był to człowiek cichy, łagodny, skromny, spokojny, a wytrwały i głęboki. Jakim był sam on się opisał w testamencie, z którego przytoczę tu ustępy, nad którymi czytelniczki „Bluszczu“ może zadumają się, może i zapłaczą. Testament datuje z r. 1878:

...„Straciwszy najukochańszą żonę, nie mam nadziei żyć długo, a gdybym nawet włókl to życie nieco dłużej, to i tak nie mam zamiaru żenić się, a temsamem nie mam widoku mieć potomstwa, i dlatego pragnę zawczasu uporządkować interesy majątkowe. Całe życie moje starałem się głównie o imię pociągłego człowieka: nie gonilem tedy za majątkiem ani za zaszczytami. To też do ludzi miałem wielkie szczęście, do pieniędzy nie miałem żadnego. Na adwokaturze nie złożyłem prawie nic, pomimo, że miałem wiele interesów, możliwych klientów i wielkie zaufanie. Majątek, jaki posiadam, w najznaczniejszej części odziedziczyłem po najukochańszej mej żonie Helenie z Rzezińskich Rydzowskiej! Kochałem ją bez granic dla wielkich jej przymiotów serca i umysłu. Ona była tak sumienną, bezstronną i prawdę miłującą, że pochwałę z jej ust ceniłem więcej od pochwał złądzin pochodzących. Rozrządzam tedy moim majątkiem tak, jak przypuszczam, iżby to ona pochwaliła. Chcę w ten sposób złożyć ostatni hołd jej świętej pamięci.

„Dom mój w Krakowie pod l. 141 w ulicy Poselskiej stojący, zapisuję na wieczystą i nigdy nie pozbywalną własność gminie miasta Krakowa z przeznaczeniem, aby w domu tym mieszkał zawsze prezydent Rady miejskiej krakowskiej. Dom ten należał dawniej do posiadłości Wielopolskich, obecnie miejskiej; niechże więc znowu złączy się z nią w jedną całość; a bolałem zawsze nad tem, że prezydent miasta Krakowa nie ma mieszkania w ratuszu.

...„Gdziekolwiek-bym umarł, pragnę, aby zwłoki moje były złożone w Krakowie, w grobie jednym obok zwłok najukochańszej mej żony, Heleny Rydzowskiej“.

Niezwykle ostra zima dała się mocno we znaki całemu Wiedniowi, który wcale nie ma dobrze opatrzonej mieszkań, a węgle i drzewo są tu niesłychanie drogie. Ofiarność publiczna natychmiast pomyślała o biednych. Po raz pierwszy powstały ogrzewalnie z łózkami; już ich jest cztery, a chroniący się otrzymują i posiłek codzienny z innych źródeł improwizowany. Dzieje się to wszystko siłą stowarzyszeń, których zawiązanie i powodzenie jest tutaj jednym z najcharakterystyczniejszych rysów społeczeństwa. Utwierdzam się w przekonaniu, że szukanie *township*, które tu nie istnieje, jest nienajmniejszą pobudką i czynnikiem w tej mierze. Odbity właśnie spis ludności, który w samym mieście bez wojska i przyjezdnych wykazuje 707,000 ludzi, podaje co do stowarzyszeń wymowne liczby. Nie licząc przedsiębiorstw zbiorowych, posiada Wiedeń stowarzyszeń 789: dla handlu i rzemiosł 60, dla różnych gałęzi rolnictwa, hodowli koni i polowania 17, dla *popierania* sztuki 7, przyrodniczych 11, nauczycielskich 15, lekarskich 12, technicznych 6, stenograficznych 4, dla sztuki i umiejętności 49, dla wspierania studentów 16, dla wspierania

dzieci szkolnych 19, dla utrzymywania ogródków dzieciennych, ochronek, przytułków 26, dla pielęgnowania chorych 11, kuchni ludowych i zakładów rozdawnictwa rosółu 12, dobroczynnych 80 (w tych 27 żydowskich, 1) wsparcia i emerytalnych 66, religijnych: katolickich 47, żydowskich 14, ewangelickie 1, politycznych 48, gimnastycznych 12, czytelniczych 9, studenckich 41, strzeleckich 11, wokalnych 62 i dla zabawy 133.

Ta ostatnia liczba jest wymowną i prowadzi nas prosto do karnawału. Trudność tu niemała zdać sprawę, *embarras des richesses*, świadkowi zawraca się w głowie, a dla Wiedeńczyków niema miary i granic zabawy. Trzeba się uciec do chronologii. Zaczyna się tu karnawał w wigilię nowego roku „na Sylwestra“; całą noc Wiedeń nie śpi, wszystkie stowarzyszenia biesiadują, a w jaki sposób: oto przykład. „Klub naukowy“ wyprawił sobie ucztę z następującym menu:

1. *Pierwszy peryod*. Czasy najdawniejsze przed pojawieniem się przeżuwaczy. Konglomerat pozostałości ryb, roślin i ptaków nasyconych olejnymi substancjami. Ślady pewnego kwasu zawierającego sól pochodzenia morskiego.

2. *Peryod drugi*. Pierwsze pojawienie się przeżuwaczy *Bos ultimigenius*, egzemplarz wyborne przechowany, otoczony pozostałościami bujnej roślinności rhizomy i solanaeae.

3. *Czasy przedhistoryczne*. Pozostałości budowli nawodnych. Owoce z drzew i krzewów, szczególnie substancje tłusto-kamieniste, dające się krajać, miękkie, ciastowate, niepozwalające się zdefiniować, luźne, brunatne massy, podobne do amalgamatów niklowych, znane pod nazwą „pumper-nikel“ (chleb razowy — *bon pour Nickel*).

4. *Czasy historyczne*. Początki kultury w Europie. Bowl (poncz). Nad Mozela i w Szampanii udaje się winna latorość; ananas przywożony bywa z Ameryki. — Na odwrotnej stronie tego menu były fotominiatury głównych dzienników.

Kiedy ludzie nauki tak się bawią, to cóż dopiero inni śmiertelnicy! Nic dziwnego więc, że zawiązał się klub wesoły dla wyszukania najpiękniejszej kobiety w Wiedniu; będą wybory, narady, posiedzenia, sprawozdania... zabawa. Przed balami rozpoczął się sport łyżwowy i wcale nie abdykuje: owszem powstała teoria, że slizgawka jest najlepszym lekarstwem na nadużycia nocne, taniec i zmęczenie w atmosferze gazu i gorąca. Slizgawka przywraca siły ciału, wzmacnia, omdlałe oczy rozświeca, pobladłą cerę ożywia. Czyjej urodzie gaz i noc nie sprzyja, ten raczej tu, na lodzie, w słońcu, może sobie powetować zawody; inne tu są królowe, inne w sali balowej. Więc na stawach tysiączne tłumy, muzyka, trybuny, restauracye, oświetlenie elektryczne, ledwo zmrok zapada, maskarady, sanki ciągnione kucykami; a jeżeli na balach szaleją młodzi, to na lodzie i młodzi i starzy. Rotszyld pojawił się w ubiorze polskim, w kontuszu (zapewne dla ciepła), bywają arcyksiężniczki i arcyksiężęta... salon, towarzystwo.

Balów nawet wyliczyć-by niepodobna. Ktokolwiek daje u siebie zabawę, doznaje zawodu; dwie trzecie części zaproszonych gości nie przybywają, bo już gdzieindziej być przyrzekli. A jakaż rozmaitość, ile wymysłów! Bale chłopskie, alpejskie, strzeleckie i t. p., w których zwykły frak i suknia są zakazane. Ideałem dla tłumów są bale dworskie — żeby się tam choć raz dostać. Jestto pragnienie rzeczy nieznannej, której poznanie rozczarowuje, przynajmniej co do zabawy.

(Dokończenie nastąpi.)

## NOWINY PARYZKIE

Rapporta z ostatniej Wystawy powszechnej w Paryżu 1878 r. — Ciekawa przedmowa Juliusza Simona. — Kryzys handlowy i jej znaczenie. — Wpływ mody i jej potęga. — Jeszcze słówko o działalności kobiecej. — Nowy przyczynek do jej historii. — Pani Krüddener, jej listy i pisma przez Bibliofila Jakóba. — Obrony i mowy Gambetty. — Listy miłosne pani Sand. — Czemu tu wierzyć

1) Czytelnik zechce porównać z powyższem to, co pisze korespondent paryzki na kolumnie 47. (Przy. Red.)



wpada? i co sam widziałem na własne oczy. — Nowy sposób przysparzania stołowników w restauracyi.

Paryż, d. 10 Stycznia 1881 r.

(Dokończenie).

Jedni gwałtem sami cisną się do sławy — innym sława nawet w grobie odpoczynku nie daje... Dzienniki tutejsze rozpuściły wieść o mającym się przygotować do wyjścia na świat nowym wydaniu poufnych listów Georges Sanda z rozmaitemi osobami, pomiędzy któremi występują imiona Alfreda de Musset i Szopena. Wieść ta wywołała żywą i bardzo uszczypliwą polemikę za i przeciw osobie pani Sand. Każdy tu wściobił swoje trzy grosze, ale ton tej polemiki pokazuje jasno, że grzebanie się w życiu najprywatniejszym bliźniego będzie zawsze najmilszą, choć nieobjawioną, przyjemnością człowieka... Dobrze niby poinformowane dzienniki przytoczyły nawet kilka imion, jak Dumas i Paul Parfait'a, z których miano złożyć kommissyą do rozpatrzenia dokumentów, bo tu chodziło więcej o listy pisane do pani Sand, aniżeli przez nią.

Z pierwszą protestacyą wystąpił P. Truba, ów to były sekretarz Sainte-Beuve'a, dziś bibliotekarz zamkowy w Compiègne i exekutor testamentu Pawła de Musset. Zaprotestował on przeciw autentyczności listów Alfreda de Musset, a opierał się na posiadaniu listu własnoręcznego pani Sand, pisanego do Pawła de Musset, w którym sławna autorka *Indiany* objawia mu solennie, iż wszystkie listy brata jego Alfreda pisane do niej, uległy *spaleniu!* Na to mu odpowiadano, że podobnego rodzaju oznajmienia, są jako przysięgi pijackie i słowo pani Sand wcale nie tłumuje możliwości zjawienia się listów, o które spór się toczy, w jaknajprawdziwszej treści. Spalony raz Fenix może się napowrót odrodzić z popiołów własnych. Tu zabrał głos syn nieboszczki, Maurycy Sand i również zaprzeczył prawdziwości całej wieści; sądzi on, że powód do niej dały owe to ogłoszenia literackiej korespondencyi pani Sand w *Revue des deux Mondes*, wychodzące na świat w tej chwili. Miarkując z tego wszystkiego, można jednakże twierdzić prawie z pewnością, że listy te Musseta, jak i pani Sand, nie zostały zniszczone, że istnieją i są w czyichś rękach, ale, że na ich ogłoszenie zapewne jeszcze czas nie nadszedł.

Co mnie w tem mniemaniu utwierdza, to okoliczność, że wmieszano do sprawy wzmiankę o listach pani Sand, pisanych do Szopena, i o których najdziwniejszą historią opowiada Albert Wolf. Listy te miały być jakoby wręczone siostrze Szopena po jego śmierci i skonfiskowane na granicy przy jej powrocie do kraju. Poskonfiskowaniu pozostały w rękach urzędnika komory celnej, o czem dowiedziawszy się Dumas w podróży swojej z *Rossyi do Paryża* wydostał je z rąk owego to celnika, upoważniając go, dla pokrycia swej odpowiedzialności do powiedzenia, że on, Dumas ukradł je u niego! I tak listy te, raz przywiezione do Francyi, zwrócono pani Sand!

Wolf był, jeżeli nie zaufanym przyjacielem, to przynajmniej zostawał zawsze w wielkiej zażyłości z Dumasem: należałoby więc przypuszczać, że do ogłoszenia takiej nowiny upoważnił go Dumas syn, inaczej tenże Dumas-by zaprotestował. Aprzeciż jest to wierutna bajka, o czem rodzina Szopena wie najlepiej. Ja sam zresztą mogę powiedzieć, że listy te, a szczególnie listy pani Sand do Szopena pisane, — bo najdroższy Szopen był tak leniwym, że i w najbliższych sercowych stosunkach, wolał całą godzinę przegadać, niż poświęcić 5 minut czasu na napisanie króciutkiego bileciku — o toż wiele bardzo tych listów pani Sand do Szopena widziałem w rękach jednego z wielkich przyjaciół mistrza, będzie temu lat kilka. Jednego, ważnego nawet listu, pisanego do owego przyjaciela, mam odpis u siebie.

Takim sposobem piszą tu oni historią. Nie potrzeba się więc dziwić, że się tu wykluwają najmonstrualniejsze kaczory i kaczki — jak tu nazywają banialuki. Znajdziesz tu wszystko zmieszane w jednej sałacie, z której wyciągniesz i piękny ogórek i głupią fasolę, i głupszy jeszcze kwiatek nasturcyi. Na jednej z najdziwniejszych

mieszanin tego rodzaju zakończymy już chyba dzisiejszą naszą korespondencyą. Jestto wynalazek zasługujący na to, aby o nim wiedzieli ci wszyscy, którym idzie o wyciągnięcie z kieszeni bliźniego jednej więcej złotych.

Nazywa się to: *Przymusowe pomnożenie klienteli w restauracyi*. U nas, gdzie tak jest trudno o nowe wynalazki na drodze przemysłowej, pewien jestem, że ta wiadomość przyjętą będzie z należytem *uwzględnieniem*, jak się mówi w Galicyi. Proszę tylko o pozwolenie zamilczenia nazwy hotelu, aby mu nieposługiwać bezpłatną reklamą. Ogłoszenie o tym wynalazku brzmi następująco:

„Administracya \*\*\* hotelu nie szczędzi *żadnej ofiary*, aby każdodziennie usłużyć swej licznej, arystokratycznej klienteli jakim nowym przedmiotem *przyjemności lub rozrywki*; (lepiej-by było dawać jeść lepiej i oficiej).

„Powodzenie *koncertów obiadowych* przeszło wszelkie oczekiwanie!...

„*Zawczoraj*, szczęśliwi stołownicy hotelu, słyszeli *Ave Maria* Gounod'a, egzekwowane pomistrzowsku przez szczytną pensyonarkę teatru \*\*\* dodajmy, że akkompaniament na skrzypcach, organkach i fortepianie uczynił efekt niezmierny.

„*Wczoraj* znowu orkiestra i *Cymbały Cygańskie*, na których węgierski artysta wygrywał porywające, rozkoszne walce, zmieniały się co chwila, jedne po drugich, na usługi *jedzącej publiczności*“.

To *Ave Maria*, wykonane w traktynie pomiędzy cygańskimi cymbalami i cielecą pieczenia, niedosyć skruszała, jest arcydziełem reklamy, godnem naszego wieku!

I ciż sami twórcy tak potężnej reklamy dziwią się potem, kiedy ktoś inny weźmie do ust trąbę sławy. Dziwią się, że Grecy narobili tyle hałasu o znalezionej świeżo *Zwycięzkiej Minerwie*, na akropolu ateńskim. — „Nie jestto bowiem, mówi jeden z uczonych Francuzów, znakomity posąg, słynne Ateńskie Palladium, lecz tylko poprostu statua Minerwy. — Czyż warto było, — dodaje, — wstrząsać tak głęboko całą uczoną Europę dla takiej fraszki. Ale tak już są oni stworzeni w tym kraju (w Grecyi), miłośnicy wszelkiej przesady retorycznej i napuszonego stylu!“

Kociół garnkowi przygania!...

## WIADOMOŚCI Z MEDYCyny POPULARNEJ.

Prof. Łuczkiwicz: „Wykład popularny o chorobie skrofulicznej“

ocenik

Dr Gustaw Fritsche.

(Dokończenie).

W drugiej części dzieła swojego autor opisuje postępowanie mające zapobiegać chorobie skrofulicznej, czyli wykazuje sposoby uchronienia przyszłych pokoleń od tej przypadłości, zapobiegania rozwojowi jej u dzieci, i oile się da, łagodzenia cierpień chorobą tą wywołanych. Rozdział ten rozpada się na podanie przepisów higienicznych, które zachować należy, iżby: a) nie rodziły się dzieci skrofuliczne lub ze skłonnością do tej choroby; b) aby, jeżeli się uda, zniszczyć istniejącą u dzieci skłonność do chorób skrofulicznych, a przynajmniej uchronić je jaknajdłużej od tych dolegliwości; c) żeby zapobiedz wywiązananiu się tej choroby u dzieci, ze zdrowych rodziców pochodzących.

Autor nie wdaje się w podawanie środków, mających leczyć skrofuły i słusznie twierdzi, iż celem wykładów popularnych, nie powinno nigdy być podawanie sposobów leczenia danej choroby, lecz opisanie jej natury i nauczanie, w jaki sposób postępować należy, aby jej uniknąć. Zgadzam się najzupełniej na następujące słowa autora: „Właściwe leczenie choroby skrofulicznej, nie może

wchodzić w zakres naszego wykładu, albowiem leczyć nie może nikt, kto nie ma specjalnego wykształcenia. Wskazywanie lekarstw, publiczności nieobeznanej z nauką, może i musi przynieść więcej szkody niż korzyści. Zresztą, czyż nie lepiej, nie łatwiej chronić się od choroby, aniżeli istniejącą leczyć?—zwłaszcza przy braku potrzebnych wiadomości. Nie jestto bynajmniej chęć ukrywania przed publicznością środków leczniczych, ale szczere przekonanie, mające tylko dobro ogółu na względzie“.

Ze przez odpowiednie wychowywanie można znakomicie na rozwój lub na przytępienie skłonności do skrofulów wpłynąć, nie ulega to najmniejszej wątpliwości. W wykładzie swoim autor przede wszystkim podaje nam ogólnohygieniczne przepisy, które nietylko specjalnie do skrofulów, ale i ogólne mają zastosowanie. Więc spotykamy się tu z przepisami: jak dzieci żywić, jak ubierać należy, jak ruch i przechadzka, oraz świeże powietrze niezbędnymi są dla ich zdrowia, jak z nauką należy postępować ostrożnie, żeby nią zbyt nie obciążać i chorobliwie nie rozbudzać fantazyi dziecięcej; jak dzisiejsza metoda uczenia dzieci jest wadliwą i dla organizmu zgnubną, z powodu, iż zbyt długo w zgiętej nad książką postawie każą dzieciom przesiadywać i t. d.

Ponieważ dzieci najczęściej dziedziczą chorobę skrofuliczną po rodzicach słabowitych, zatem radzi autor rodzicom, żeby przy wydawaniu córki zamaż zwracali uwagę na zdrowie przyszłego zięcia, oraz żeby starali się córkę przed ślubem radykalnie wyleczyć z blednicy, katuru oskrzeli lub innych cierpień chronicznych, którym panienki w wieku dojrzewania podlegają. Rada to dobra, choć stosunkowo rzadko można się do niej zastosować. Względy światowe, których obejść w żaden sposób nie można, grają tu tak ważną rolę, iż najzdrowsze i najrozsunniejsze rady nie bywają słuchane. Jako choroby, na które szczególnie należy zwracać uwagę przy tej okoliczności uwagę, autor wymienia suchoty płucne, wady organiczne serca, niedokrwistość czyli blednicę, uporczywe wyrzuty skórne, chorobę angielską kości, epilepsyę czyli konwulsyę etc. Ta ostatnia jest najniezawodniej dziedziczną, dlatego osoby nią dotknięte nie powinny bezwarunkowo nigdy w śluby małżeńskie wstępować. Młodociany wiek rodziców jest nieraz powodem słabowitości dzieci: dlatego professor Łuczkiwicz nie radzi rodzicom nigdy córek zamaż wydawać, przed ukończeniem 20—22 roku życia przepis zbyt ogólnie postawiony, gdyż zależy to wyłącznie od rozwoju organizmu, który u rozmaitych indywiduali różnicie się przedstawia. Przy tej sposobności autor zachęca, żeby każda rodzina miała stałego domowego lekarza, który, jako przyjaciel i doradca w rzeczach zdrowia, wielką pomoc w wielu okolicznościach życia przynieść może. Taki zwyczaj lekarzy domowych oddawna już zagranicą istnieje; u nas tylko jakoś nie wchodzi w użycie.

Mówiąc o hartowaniu ciała, autor zdradza i pożyteczną daje radę, żeby całe ciało dziecka, rano, przed ubieraniem przemywać zimną wodą i następnie szybko bardzo wycierać suchym ręcznikiem. Dzieci prędko i łatwo się do tego przyzwyczajają i nie sprawia im to najmniejszej przykrości. Takie hartowanie chroni dzieci od zaziębienia i od mnóstwa pochodzących ztąd chorób.

Codziennie wychodzenie z dziećmi zimą i latem, z wyjątkiem dni bardzo zimnych i wietrznych, wielce się zaleca. Dzieci skrofuliczne, lub mające do skrofulów usposobienie, potrzebują więcej niż inne świeżego powietrza, dlatego powinny ile możliwości przepędzać czas w ogrodach, na wsiach, jednym słowem nie w mieszkaniu, lecz na otwartem powietrzu, wolnem od wszelkich miazmatów i zanieczyszczeń. Dzieci, u których zaniedbano przemywania całego ciała wodą zimną, należy zacząć przemywać wodą grzaną, a następnie przechodzić do wody coraz chłodniejszej. Takie przemywanie ciała dobrze wpływa na układ nerwowy, na krążenie krwi i na oddechanie. Oprócz tego należy dzieci raz lub trzy razy na tydzień kąpać w wodzie ciepłej, z dodaniem dwóch lub więcej funtów soli kuchennej, stosownie do wieku.

Jakkolwiek ruch jest rzeczą nader pożyteczną, nie trzeba się jednak z gimnastyką spieszyć



## KRONIKA PEDAGOGICZNA.

i wogóle przed siódmym rokiem życia zaniechać tego ćwiczenia ciała; kości są wtenczas jeszcze niezupełnie wykształcone i przy usposobieniu skrofalicznem możnaby tem więcej szkody niż pożytku przynieść. Autor nie radzi nawet, żeby dzieci zbyt wczesnie konnej jazdy używały, gdyż słabe mięśnie i niedostatecznie rozwinięte kości w kręgosłupie mogą na tem ucierpieć.

Autor oburza się na zakłady dobroczynne i na oddawanie dzieci na mamki, mówiąc o takich dzieciach: „Wszelkie rady i nawoływania byłyby tu zbyt bezowocne, albowiem są to poprostu ofiary skazane na śmierć, z których zaledwie dziesiąta część przypadkiem zostaje przy życiu. Wina tego leży w samej naturze urządzeń i w słabowitości dzieci na los wypadku rzuconych. Zwierzchnicy jednak i opiekunowie zakładów dobroczynnych np. ochronek, w których chowają się dzieci starsze, mają obowiązek troskliwszego aniżeli to zwykle ma miejsce, czuwania nad dziećmi pieczy ich powierzonymi. Zadanie ich nierównie łatwiejsze, bo dzieci te starsze, a jakkolwiek fundusze na ten cel przeznaczone, zazwyczaj są szczupłe, można tu przecież bez większych nakładów zachować sieroty w lepszym stanie zdrowia, aniżeli są one dzisiaj. Przestrzeganie prawideł higienicznych nie wymaga po największej części pieniędzy, tylko znajomości rzeczy, dobrej woli i dozoru, a tego przecież żądać można od osób, które albo się poświęcają z uczucia ludzkości, albo też pełnią obowiązki za wynagrodzeniem.

Sposobowi żywienia dzieci, autor stosunkowo dużo miejsca poświęca; mięso gotowane czyli t. zw. sztukę mięsa potępia z powodu, iż, jak wiadomo, mniej zawiera ona w sobie części pożywnych od mięsa prażonego, duszonego lub pieczonego. Ponieważ rosoly wogóle niewiele dają pożywienia, więc nie należy zmuszać dzieci do spożywania większej ich ilości, jak to dawniej czyniono.

Najlepszym napojem dla dzieci jest woda źródłana, chociaż dzieci skrofaliczne z pożytkiem dla siebie pić mogą lekkie dobrze wywarzone piwo, lub wodę z czystym, francuzkiem winem.

Autor powstaje przeciwko wyprawianiu dzieciom zabaw tańczących, twierdząc iż naprowadzają im myśl strojenia się, przypodobania, odrywają od nauki, dają sposobność zaziębienia się etc., ale wszystko to są obawy zbyt bezowocne, gdyż zależy to od rozsądku rodziców lub urządzających takie zabawy, żeby uniknąć złych stron, a nie pozbawiać dzieci wesołej, a niewinnej uciechy.

O właściwym leczeniu skrofulów autor krótko wspomina. Głównym zadaniem leczenia jest: „wspierać, poprawiać, przeistaczać naruszoną u skrofalicznych sprawę odżywiania i pokrzepiać, wzmacniać siły osłabionego organizmu“. Środki lekarskie najczęściej przeciwko skrofulom używane są: tran rybi i wody z kąpielami mineralnymi. Tran zadawać należy w zimie i to, jeżeli organizm dziecka dobrze go znosi, przez kilka lat z rzędu. W lecie potrzeba przerwać użycie tranu, ale natomiast dzieci skrofaliczne wysłać w góry, nad brzeg morza, do wód mineralnych etc. w miarę potrzeby i stosunków materialnych.

Wody i kąpiele mineralne najstosowniejsze w skrofulach są słone, żelaziste i jodowe. Z naszych wód zasługują na wzmiankę: Ciechocinek, Solec, Druskieniki, Busko, Iwonicz, Szczawnica, Rabka etc.

W całym dziele prof. Łuczkiwicza znajdujemy mnóstwo ważnych i pożytecznych uwag i spostrzeżeń, które tutaj pominąć musimy, zalecając przeczytanie ich wszystkim, dla których sprawa higienicznego wychowania dzieci obojętną nie jest.

W drugim tegorocznym numerze *Nivy* (15 Stycznia) znajduje się wyborne napisany artykuł p. Adolfa Dygasińskiego *Obcowanie z dziećmi w rodzinie*. Autor zapowiada ciąg dalszy: *Obcowanie z dziećmi w szkole*. Rzecz pożyteczna do przeczytania dla nauczycieli i nauczycielek.

Austryacki minister oświecenia zganiał cyrkularem ministerjalnym nauczycieli czeskich, którzy na kongresie nauczycielskim, jaki się odbył w Pradze w Październiku zeszłego roku, odzywali się silnie za wykładem nauk jedynie w języku czeskim. Minister widział w tem szkodliwe dla nauki przeniesienie rzeczy na grunt polityczny. Niektórzy z mówców zawezwani zostali przed władzę szkolną i zagrożeni dymisją w razie ponownego w kierunku podobnym postępowania. Ale *Narodne Listy* wystąpiły z obroną, dowodząc, że nauczyciele pomienieni stoją najzupełniej na gruncie legalnym, bo jest to właśnie interesem nauki, aby wykłady odbywały się w języku dla ucznia rodowitym. Wtedy tylko zdolny on jest opanować doskonale przedmiot naukowy; w klassach niższych dziecko uczące się w języku obcym uczy się głównie na pamięć, więc z najwęższą szkodą dla rozwoju władz umysłowych. Przytem nadmierność wynikłej ztąd pracy przygnębia je na duchu i ciele.

Kommissya municypalna paryskiej rady miejskiej postanowiła podzielenie wszystkich uczniów miejskich szkół Paryża na bataliony, a to celem kształcenia ich w mustrze i innych ćwiczeniach wojskowych. Każdy batalion składać się ma z 600 chłopców, podzielonych na cztery kompanie; manewra odbywać się będą kompaniami w każdy czwartek popołudniu; ćwiczenia i mustra ogólna całego batalionu, zgromadzonego razem, w każdą pierwszą środę miesiąca. Uzbrojenie stanowić będzie strzelba, według specjalnego wzoru na ten cel wykonana i zastępująca ciężkie kije ołowiane, jakich obecnie używają w szkołach gminnych przy nauce mustry i z pałasza-bagnetu (sabre-baïonette). Na początek uzbroi się tylko chłopców od 11-go do 13-go roku, co już obejmie liczbę 23,000 małych żołnierzy. Minister wojny polecił komendantowi szkoły wojskowej w Joinville-le Pont udzielenie odpowiedniej instrukcji. Rewia tego wojska przyszłych obrońców Francji odbywać się ma co rok, przy zakończeniu nauk szkolnych. Stanowić to będzie uroczystość wesołą dla dzieci, miłą dla rodziców i publiczności.

W Emden, w Hanowerze, miała miejsce ostatniej jesieni ciekawa wystawa, urządzonego przez znanego czytelnikom naszego pisma Clauson-Kaas, Duńczyka, który stworzył w ojczyźnie swojej oddziały rzemiosł przy szkołach i szkołkach gminnych. Obecnie spełnia on podobne dzieło w Niemczech. Przy wspomnianej wystawie Clauson-Kaas wykladał swoją metodę nauki rzemiosł w odniesieniu do: rzeźby i wyrzynania na rzemie, stolarstwa, tokarstwa, szrotkarstwa, introligatorstwa i plecienia ze słomy. Sześćdziesiąt dwie osoby z różnych stron Niemiec zebrało się na wykłady, aby następnie zająć się rozpowszechnieniem metody duńskiej. Między innymi znajdował się tam wysłany przez gubernatora Alzacyi-Lotaryngii delegat, Gelshorn, który w raporcie swoim wydał o metodzie Clauson-Kaasa najprzychylniejsze zdanie. Sam jej twórca przybył wkrótce potem do Strasburga, gdzie w długiej pogawędce publicznej obznajmiał słuchaczy, nie tylko z metodą swoją, ale dowodził ważności oddziały rzemiosł i w ogóle pracy ręcznej w czasie nauk szkolnych. Ponieważ mówił niemiecku, szersza publiczność miasta nie

pośpieszyła go słuchać.—Zaprowadzenie nauki rzemiosł przy szkołach średnich i elementarnych w Alzacyi i Lotaryngii zostało obecnie postanowionem.

Wedle ostatnich wykazów statystycznych Irlandy liczy na pięć milionów ludności 7,552 szkół elementarnych, do których uczęszcza 434,054 dzieci; te wedle wyznania dzielą się: katolików 79,6 na sto; anglikanów 9,5; prezbjteryanów 10, innych wyznań 0,9. Nauczycieli i nauczycielek jest 11,269. W Irlandyi posyłanie dzieci do szkół gminnych nie jest przymusowe.

Anglia ma szkół takich 17,166, z tych prywatnych 14,027, a w nich 1,925,254 uczących się dzieci; szkół Zarządu Edukacyjnego (School-Board) jest 3,139, w nich 669,741 uczących się. W stosunku do ludności wypada uczniów 10,52 na sto osób. W Anglii płaca nauczyciela w szkołach Zarządu jest 120 funtów sterlingów, nauczycielki 72 funtów. W Irlandyi nauczyciel pobiera od 35 do 70 funtów, nauczycielka od 27 do 58 funtów. Smutna ta różnica uderza przykro.

W Szkocyi jest 3,003 szkół, mogących przyjąć 585,629 dzieci. Ostatnie wykazy podają 508,452 uczących się dzieci, z których 108,683 nie mających jeszcze lat siedmiu. Płaca nauczycieli jest 139 funtów szterlingów, nauczycielki 72. Oświata ludowa stoi z całego państwa Wielkiej Brytanii najwyżej w Szkocyi.

W Izbach Hiszpańskich przy rozprawach nad budżetem deputowany Caudau wykazał bolesny stan zaniedbania oświaty ludowej. Uniwersytetów jest obecnie przy ułatwionych środkach komunikacyi w Hiszpanii za wiele, za to szkół elementarnych zamało i źle urządzonych, a raczej opuszczonych nagannie. W miasteczku Loriguilla, w Walencyi lokal szkoły miejskiej służy zarazem za izbę więzienną, zatem klasy się rozpuszczają ilekroć zdarzy się, że magistrat miasta skaże kogo na areszt. Alkad tego miasteczka nie umie czytać. W miasteczku Redovan—prowincya Alicante—w szkole dziewcząt cały sprzęt izby szkolnej stanowią małe stołeczki, które dzieci przynoszą ze sobą. W szkole tej, przy ostatniej wizycie inspektora rządowego, nie znaleziono ani pióra, ani atramentu, ani nawet kałamarza. Nie było również ani kawałka papieru. Nauczycielka pobiegła do swego mieszkania, aby przyniesiono stołeczek, na którym inspektor mógłby zanotować to, co zastał. Gubernator prowincyi Zamora zawiadomił alkadów wszystkich podwładnych mu gmin, że te tylko miejscowości otrzymają pozwolenie na urządzenie walki byków, które wykażą dowodnie, że wszystkie podatki idące na utrzymanie szkoły gminnej zostały uiszczone.

Liczba studentów w dziesięciu uniwersytetach Hiszpanii: w Madrycie, Barcelonie, Walencyi, Sewilli, Grenadzie, Valladolid, Santiago, Saragossie, Salamance i Oviedo, jest 16,874. Koszta utrzymania tych szkół wyższych ponosi niemal w zupełności państwo; utrzymanie szkół ludowych cięży na gminach. W budżecie rządowym koszta oświaty ludowej na cały kraj reprezentowane są przez 185,000 franków.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się arkusz 6-ty powieści pod tyt.: *Wódz-Duch*.

TREŚĆ. Xiądz Franciszek Xawery Malinowski, (życiorys), przez S. K.—Sama jedna, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego.—Marya Anna Cross (Jerzy Elliot), (dalszy ciąg), przez M. I.—Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego.—Korespondencya zagraniczna, (Wiedeń).—Nowiny paryżkie, (dokończenie).—Wiadomości z medycyny popularnej, (dokończenie), przez Dra Gustawa Fritsche.—Kronika pedagogiczna.



## WÓDZ-DUCH

POWIEŚĆ

KAROLA DESLYSA

przekład z francuzkiego J. M.

(Dalszy ciąg)

XV.

Sir Reginald.

Sir Reginald Cornwallis, syn wice króla Irlandyi był narzeczonym Łucyi Fitz-Gerald, jakkolwiek ona sama jeszcze nie chciała dać stanowczego słowa, jeszcze wahała się z przyjęciem pierścienia zaręczynowego. Ale księżna jej matka i ojciec młodzieńca już sobie powiedzieli, że ich dzieci połączą się, a młody wiek Łucyi sprawił, że nie nalegano na nią o decyzję ostatnią. Sir Reginald mógł przecież obudzić miłość młodej panny: dwudziesto pięć latni półkownik dragonów, bardzo przystojny, bardzo ukladny, przystem słusznego wzrostu, i szykownej postawy, przyjemnie wzrok pociągał i tylko możnaby mu było zarzucić zbytnią w tak młodych latach powagę, charakteryzującą angielską arystokrację.

Nie była to przecież wygórowana duma rodowa, nie, raczej można go było nazwać nieśmiałym. Słodczyz spojrzenia młodzieńca odpięła też zarzut pychy. W rysach jego przebiegał niejaki smutek. Nie ośmiela się być młodym, obawia się okazać że kocha, bo nie może liczyć na wzajemność. Ale można przeczuwać za spojrzeniem w jego głębokie oczy, że nie jest to ani płaska, ani pospolita osobistość. Wyniosłe czoło daje mu wyraz szlachetności i mężkości, która dobrze uprzedza, dobrze wróży o jego przyszłości.

Nazajutrz po uwięzieniu Edwarda, ukazał się w pałacu Leinster poważny jak zwykle i jeszcze więcej smutny.

Stary pałac był jedną z owych pańskich siedzib, charakteryzujących, że się tak wyrazimy, i straszających historią wielkiego rodu.

Pierwsze początki budowy pałacu wzniesione zostały za czasów Wilhelma Zdobywcy. Fitz-Geraldowie, czyli synowie Geralda, byli normandzkiego pochodzenia, lecz osiadłszy w Irlandyi, stali się z wolna Irlandczykami, poślubili jej sprawę i bronili swobod jej nowej ojczyzny. Ilekroć krew ich płynęła za nią na polach bitew i na rusztowaniach! Starszy syn nazywał się wtedy hrabią z Kildare.

Niegodnie oszukani przez Stuartów, do których powrotu przywiązywali najdroższe nadzieje swej ojczyzny, Fitz-Geraldowie poddali się lojalnie domowi Hanowerskiemu. Walka wykazywała się nieużyteczną i marzyli, że pod berłem nowej dynastyi nastąpi era sprawiedliwości i wolności.

Złudzenie to było. Na przekór dobrym chęciom Wilhelma III przesładowania, walki rozpoczęły się na nowo pod panowaniem królowej Anny.

Lecz hrabiowie z Kildare byli już związani słowem. Sądzi, że nie godzi się im złamać go, ocaliwszy przez nie majątek i życie jednego ze swoich synów. Nie widywano ich więc na czele powstańców, lecz w parlamentach, w radzie króla, wszędzie ich patriotyzm stwierdzał się w tak niewątpliwy sposób, że Irlandczycy nigdy ich nie

podejrzewali o odstępstwo. Owszem: tak szlachta, jak i lud mawiali o nich zawsze: — Ci są uczciwie przywiązani do sprawy narodowej.

Książę Leinster — ten tytuł stał się nagrodą lojalności ojca sir Edwarda — w ostatniej swej godzinie kazał się zanieść przed króla Jerzego i niemal już konający, zawołał do monarchy: — Sprawiedliwości i łaski dla mej ojczyzny Irlandyi!

Starszy jego syn powtórzył uroczyście tę samą prośbę w wilią odjazdu do angielskich kolonii, gdzie zaufanie króla obdarzyło go zaszczytnym stanowiskiem.

Dla czego lord Edward nie okazywał tej samej uległości, tej samej cierpliwości? Natura była w nim inna, gorętsza; zdawało się, że dawni hrabiowie Kildare odżyli w młodzieńcu. Ojciec jeszcze zmusił go do służby w szeregach wojska Angielskiego; przystał na to, ponieważ wojna przetrząsała go na ziemi dalekie Ameryki, lecz wiemy już, jak się rzecz skończyła. Gorzała w nim zawsze iskra, przez którą nie był zdolnym do spokojnej służby w sprawie Anglii. I ożenie nie jego zagraniczne miało może początek w tajemnej opozycji jego ducha: nie chciał, aby mu zeswatał Angielkę, jak się mógł tego spodziewać. Po śmierci ojca, matka naganiała surowo syna, który przecież był jej ulubionym dzieckiem. Może właśnie kochała go więcej dla tego, że bezustannie niepokoiła się o niego!

Za jej wiedzą Łucya pospieszyła ostrzedz brata a zarazem i innych, Księżna była pewną, że syn nie oddali się bez pożegnania się z matką. Spodziewała się tego... oczekiwała...

Postawa wdowy była dumna i nakazująca, lecz twarz poważna a pełna tkliwej dobroci wzbudzała mimowolny szacunek. Dotąd jeszcze była bardzo piękną.

Koronkowy kwef, i czarne suknie wdowie jeszcze bardziej uwydatniały błądź twarzą i śnieżność jej włosów, gdy niespokojna oczekiwała w swym gabinecie przybycia sir Edwarda.

Syn i matka powitali się najpierw długim, tkliwym uściskiem, następnie matka odezwała się z żalem:

— Ach Edwardzie, czyż sądzisz, że jeszcze niedosyć cierpiała, nie dosyć wylała łez?...

— Przebacz matko! — zawołał przyciskając ją silniej do wzruszonej piersi — przebacz twemu synowi! Oeh! ofiarą uczynioną dla Irlandyi, nie stanowi krew moja, którą gotów jestem wylać w każdej chwili, ale łzy twoje. O matko! pozwól mi ucałować twe siwe włosy!

— A kto je zbielił? — przerwała mu ze smętnym wyrzutem. — Czyż nie dość błagałam, abyś zerwał raz z temi szaleńcami, którzy samoohęć lecą na zgubę. Wszak jest inny sposób zmniejszenia cierpienia i klęsk Irlandyi, sposób jedyny pozyskania dla kraju większej łagodności, większej sprawiedliwości — to polityka twego ojca i twego brata Henryka.

— O droga matko — odparł Edward — gorąco bym pragnął, aby skutek przyznał im słuszność. Pragnęłam ich naśladować, ale — nie umiałem... Każdy ma swoją naturę! Ja jestem Fitz-Geraldem dawnych wieków — nie Leinsterelem, lecz Kildarelem!

— Cicho! — rzekła matka — cicho... Ja nawet nie powinnam tego słyszeć. Ale w tej chwili uściskała gorąco jego dłoń. — Nie mamy chwili czasu do stracenia. Czy masz dość pieniędzy? Zapewne nie, więc chodź i bierz!...

Księżna otworzyła hebanowe biurko, wykładane słoniową kością. Jedna z wewnętrznych szufladek zawierała rulony złota i stopy banknotów.

— Dziękuję ci matko — odrzekł — lecz czy wiesz, że użyję ich głównie dla tych, którzy skompromitowali się przez zaufanie do mnie? Przystajesz że matko na taki użytek?

— Dobrze! — rzekła księżna smutnie. — Uwol-

nij twe sumienie i rozwiąż przyszłość. Ach z roskoszą rzekła bym się całego majątku, gdy-bym tylko mogła nim okupić cię, o dziecko moje! Ach... co za straszna chwila? Pragnęłabym, abys już był we Francyi.

A przecież gdy się już oddalał, jeszcze w proggu zatrzymała go, rzucając mu ręce na szyję.

— O, Edwardzie! — wołała, łkając. — A jeżeli jest to już ostatnie pożegnanie?...

— Matko — odparł wtedy biedny z niemniejszym wzruszeniem — w takim razie polecam twe-mu sercu żonę moją i dzieci!

Tkliwy uścisk księżnej i spojrzenie jej, wzniesione ku niebu wydawały się zobowiązaniem, uroczyście danem synowi.

Fitz-Gerald oddalił się też wzruszony, ale prawie szczęśliwy. — To ich złączy ze sobą, to zwiąże węzłem nierozzerwalnym miłości — nieszczęście moje... rzekł sobie.

W pół godziny później miał być schwytany, ranny, uwięziony w domu Tomasza Raynolda.

Stało się to na drugim końcu miasta — najmniejszy szmer, żadna wieść wypadku nie doszły do pałacu Leinster.

A przecież księżna czuła się niespokojną. Złowrogie przeczucie dręczyło biedną matkę. Sługa, posiadający zupełne zaufanie pani, został wysłany na tamę portową. Tam — myślała — jest niebezpieczeństwo.

Człowiek ten nie dostrzegł przecież nic niepokojącego. Przystań miała swą zwykłą powierzchowność. Cienie uwijały się tam i napowrót, ładowano lub wylądowano w pośród mgły. Lord Edward wraz ze swemi przyjacielami zapewne już znajdował się na jednym z oddalających się okrętów.

Pomimo tak uspakajającego sprawozdania, księżna dopiero nad ranem zasnęła. Słońce już było wysoko na widnokręgu, gdy wreszcie przebudziła się.

W tym samym czasie Łucya z Kornelią powróciły z Kildare.

I one również nie wiedziały o niczem. Sądziły, że zbieg już oddawna znajduje się na morzu.

Jak obłoki, tak i nieszczęścia mają swe cienie, zwiastujące ich nadejście. Wkrótce ponure szepety zaczęły krążyć wpośród służących pałacu. Smutny wyraz ich twarzy został spostrzeżony. Zapytani, zawiadomili o pogłoskach, obiegających miasto, o wypadkach, które miały się zdarzyć ubiegłej nocy. Mówiono o zasadzce, o uwięzionych, rannych, nawet o zabytych!

Co się stało z Edwardem?

Niepewność, obawa okrutna udreżwała matkę i siostrę.

— Mój Boże! — wołała księżna. — Któż przyniesie nam wiadomość o nim?

Głos ten dał się wreszcie słyszeć. Był to Reginald, który właśnie nadszedł.

W kilku słowach zawiadomił je o wszystkim.

— Błagam panie, uspokójcie się! — zakończył. — Rana lorda Edwarda, jakkolwiek ciężka, nie jest przecież niebezpieczną. Doktor Slowius Jumble, najrzeczniejszy ze wszystkich naszych chirurgów, znajduje się pomiędzy uwięzionymi. Wydobyl już kulę i ręczy za ocalenie rannego.

Księżna uczuła jakgdyby grom uderzający ją w samo serce. — Boże mój! wykrzyknęła — Boże! czyż nigdy nie będzie końca nieszczęściom tej krainy leż?

Padła na krzesło, szlochając; Łucya klęczała u jej nóg, całując jej kolana i ukrywając w nich łzy...

— Spodziewam się, że będzie mi wolno zobaczyć syna? zapytała księżna po chwili sir Reginalda.

— Uwięzieni nie mogą się widzieć z nikim, odrzekł jej biedny zcicha.

— Nawet z matką! — zawołała księżna. — Oeh, pójdę sama błagać lorda Cornwallisa...



— Ojciec mój — przerwał jej młodzieniec, — zaklina panią na wszystko, abys mu oszczędziła boleści odmowy. Otrzymał nieodwołalne rozkazy. Pragniemy, spodziewamy się uniknąć rozlewu krwi. Rozległy spisek, ogólne powstanie Irlandyi zagrażało Anglii. Aby ocalić oba kraje i zachować je od wielkich klęsk, należy przeprowadzić sprawę uwiezionych z wielką roztropnością. Po za temi, których rząd ma w ręku, jest tylu...

— Buntowników — rzekła Łucya tonem gorzkiego wyrzutu.

— O, wczoraj jeszcze odzywałeś się pan wspólnomysłnie!

Przymówka ta dotyczyła szlachetnego ostrzeżenia, które udzielił jej naręczony. Zrozumiał ją i odpowiedział z godnością.

— Wczoraj pani nie zdradziłem ani mego kraju, ani ojca... Dowiedz się pani, że uprzedziłem cię z jego wiedzą... Pragnął on, aby powstanie zostało pozbawione swych naczelników w sposób cichy i łagodny: wolał aby stali się wygnancami niż więźniami jego... Los nie pozwolił na to, lecz przekonania lorda Cornwallis nie zmieniły się. Zyskajmy nieco czasu. Dziś Fitz-Gerald i jego wspólnicy znaleźli by sędziów nieublaganych. Za kilka miesięcy, gdy porządek zostanie przywrócony, gdy namietności polityczne uspokoją się, z kolei zapanuje łagodność. W imieniu mojego ojca powiadam paniom: nie rozpaczajcie. Nie jesteśmy, nie pragniemy być tygrysami...

Księżna uczuła trochę nadziei.

— Nie godzi się wątpić o załości twojego ojca, milordzie — odpowiedziała. — I przynosisz nam też więcej niż nadzieję. Proszę cię, zechciej podziękować wicekrólowi... Ufam również w przywiązanie pana do Łucyi. Ona będzie twą nagrodą.

Nagły rumieniec ukazał się na twarzy Anglika. Zwrócił wzrok na Łucyę, lecz w tej chwili myślała ona jedynie o rannym, uwiezionym bracie.

— Biedny! biedny! — szeptała. — Czyż może znaleźć opiekę, która by ją zastąpiła nasze starania? Kto dla pociechy mówić mu będzie o żonie i dzieciach?

— Ja! — odrzekł Reginald. — Otrzymałem pozwolenie widywania go. Codziennie przyniosę mu wiadomości o rodzinie i nawzajem zawiadomę panie o wszystkim, co się jego tyczy. Nie mu nie zabraknie. Liczcie panie na me najszczerze poświęcenie. Czyż zresztą nie mam prawa, uważać go już za brata?

W ostatnich słowach, zwróconych głównie do Łucyi przebiegało się tyle gorącego, szlachetnego uczucia, że młoda dziewczina nie zdołała się opierać dłużej. Podniosła się z żywością i przystąpiwszy do młodzieńca podała mu rękę:

— Sir Reginaldzie!... rzekła. — Wiem że jesteś szlachetnym!... Przebac mi, czuję, jak bardzo byłam niewdzięczna...

W oczach młodzieńca zajaśniała błyskawica radości. Poczem, gdy w tej że chwili wszedł służący, aby oddać księżnie list, sir Reginald odzyskał zwyczajny spokój i skłoniwszy się odszedł:

— Do jutra!

Kornelia weszła do salonu.

— Nie traćmy nadziei — szepnęła cicho do Łucyi — Jakób jest wolny!

List, który księżna otwierała w tej chwili, pochodził od wicehrabiego de Gaillefontaine.

## XVI.

### Nowa przyjaźń

Tankred prosił o zaszczyt złożenia księżnie Leinster swego uszanowania — oddawał się na jej rozkazy.

Przez Edwarda i to już od dawna znała księżna wicehrabiego. Od Łucyi dowiedziała się o roli, jaką odgrywał w ostatnich wypadkach, aż do odjazdu z Kildare.

Co więcej, był francuzkim szlachcicem, wiernym royalistą. Z góry już więc posiadał najzupełniejszą życzliwość wdowy.

Nie długo zatem czekał na odpowiedź. Proszono go, aby zechciał przybyć jeszcze tego samego wieczoru.

Nie omieszkał stawić się, a szlachetna jego powierchowość i arystokratyczne ułożenie pozyskały mu jeszcze serdeczniejsze przyjęcie.

Skłonił się głęboko, zapewniając o swej przyjaźni dla lorda Edwarda i gorącym pragnieniu siuzenia jego sprawie.

— Biorę pana za słowo — przerwała mu — i zaraz na wstępie proszę cię wicehrabio, o pewną przysługę.

— Znasz pan lady Pamelę. Jeżeli mnie pamięć nie myli, byłeś nawet jednym ze świadków jej ślubu z moim synem. Sądziłam, że mam powód być niezadowoloną z wyboru Edwarda. Zechciej uwolnić mnie od wymiennienia ci przyczynu. Nie chcę już tego poruszać, ani pamiętać: zapomniałam o wszystkim!

Tankred znał dobrze owe powody i rozumiał je doskonale. W tej chwili, w tym pięknym i poważnym salonie, przypomniała mu się cała historia Pamelii — prawdziwy romans.

Nazwisko jej prawne było Nancy Syms. Gdy doszła do pięciu lat, za kontraktem, sporządzonym z zachowaniem wszystkich formalności, za sumę dwudziestu pięciu gwinei kupiono ją można powiedzieć w Londynie dla księcia de Chartres, tego, którego później nazywano Filipem Egalité. Wychowywał on dzieci swoje na sposób angielski, otóż przysłała mu fantazyja, sprowadzenia im żywej lalki z po za kanału.

List, przy którym ją przesłano, został przechowany, jako wielce oryginalny dokument:

— Mam zaszczyt przesłać Waszej książęcej Mości — pisze jego agent — najpiękniejszego konia i najśliczniejszą dziewczynkę z całej Anglii.

I bez wątpienia było to prawdą, przynajmniej pod względem dziecka. Zaraz od chwili przybycia mała Nancy stała się ulubienicą całego dworu w Palais-Royal.

Jedni utrzymywali, że była ona skrytą córką jakiegoś angielskiego magnata. Drudzy, i z większym prawdopodobieństwem, szeptali, że książe de Chartres ma do niej bliższe prawa i dla tego sprowadzono ją aż z za morza. Pani de Genlis, guwernantka księżniczek Orleańskich, kochała ją miłością matki, zwracano też uwagę i na to.

W każdym razie wychowano ją razem z córkami księcia. Przekonywa dowodnie o tem obraz, znajdujący się w muzeum w Wersalu, na którym Pamela — takie imie nadała jej sama pani de Genlis — znajduje się na pierwszym planie, zupełnie jak osoba równa księżniczkom. Przedstawiona jest z harfą w ręku. Była wtedy trzy-nastoletnią, śliczną dziewczynką.

W roku 1791, wszystkie znakomitości Konstytuanty i Izby Prawodawczej zachwyciły się powabami, wdziękiem układu i rozumem Pamelii. Barrère stał się jej opiekunem. Petion, Dawid, Camille Desmoulins szaleli za nią. Cała Gironda kłękała przed dziewczęciem. Zaledwie dorastająca, miała już swój salon, pewien rodzaj swego dworu, w którym najdzikszy republikanie ulegali jej urokowi i zarazem sławili jej cnoty. — To istna Afrodyta — mówili mytologicznym językiem owych czasów — ale z przymiotami Minerwy!

Zjawił się Fitz-Gerald i miłość położyła kres wszystkiemu. Pobrali się następnej wiosny. Na kontrakcie ślubnym znajduje się własnoręczny podpis księcia Orleańskiego.

Pomimo tego księżna Leinster znosiła tylko jako konieczność narzuconą sobie synową, której romantyczna, i nieco rewolucyjna przeszłość przerażała ją. Stosunki nie przekroczyły nigdy granic towarzyskiej przyzwoitości i lubo Lucy kochała Pamelę, lubo wszystko świadczyło na jej korzyść,

przecież świekra dotąd zachowała niezmienny chłód. Może nawet oskarżała w duszy synową o zachęcanie męża do smutnej sprawy, którą często, a szczególnie w rozżaleniu, nazywała buntem.

Lecz wczoraj wieczorem dała przyrzeczenie synowi — należało go dotrzymać.

— Panie wicehrabio — mówiła — bądź moim ambasadorem przy lady Fitz-Gerald. Dotąd widywałyśmy się rzadko, a przytem jestem pewną, że to będzie pociechą dla biednego Edwarda, gdy się dowie, żeśmy się pogodziły i połączyły. Gdy nieszczęście dotknie jaką rodzinę, gdy małżonka i matka cierpią zarówno obie, powinny się zbliżyć do siebie.

Łucya rozplakała się, uniesiona wdzięcznością i szczęściem.

— Och! matko — zawołała z tklivością — bądź błogosławioną! Pojmuję twe zacne serce.

Księżna mówiła dalej:

— Starszy syn mój, książe Leinster, znajduje się w Indyach. Gdyby tu był, jego była bym posłała do Kildare. Zastąp go, wicehrabio. Oświadczyć Pamelii, że czekam na nią z otwartymi ramionami i że będę szczęśliwą, widząc przy sobie wnuki.

Łucya już zerwała się z żywością:

— O spiesz się pan! — zawołała do Tankreda.

— Łucyo! — szepnęła surowo księżna.

— Och — usprawiedliwiło się szlachetne dziewczę, uśmiechając się — znamy się już dobrze z panem wicehrabią, jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Nazajutrz skoro świt, Tankred już był na koniu.

Gdy przybył na miejsce, już sama smutna twarz murzyna, otwierającego bramę dziedzińca, przekonała Gaillefontaine, że nieszczęsna wiadomość doszła już i do tego domu.

— O biedny pan! — szepnęła Tony. — Uwieziony, ranny!

— Któż was zawiadomił o tem? — zapytał wicehrabia.

— Master Jack! — odrzekł czarny.

Tak w Kildare jak w Dublinie Dziki Ir znany był jedynie pod tem imieniem. Słowa Tankreda wlały nieco odwagi w serce biednej żony. Wzięła dzieci na ręce i uściskawszy oboje z kolei, płakała.

Są istoty, które zdają się stworzone jedynie do radości i uśmiechu. Taką właśnie była Pamela, a jednak łzy uczyniły ją jeszcze piękniejszą; krople rosy na świeżo rozwiniętej róży.

— Biedne sieroty! — szeptała z boleścią. — Może to moja wina, jeżeli straciecie ojca! Może bym była zdołała zwrócić go z nieszczęsnej drogi, na którą wstąpił. Lecz niestety, kołysana od dzieciństwa szlachetnymi pieśniami Francuzkiego patriotyzmu, karmiona ideami wolności, pomocy dla słabych — zapaliłam się do pięknej myśli oswobodzenia Irlandyi, której nieszczęścia mąż malował mi w tak żywych barwach. Święty ogień, płonący w jego sercu, przeniknął i w moje łono... Marzyłam... wierzyłam w zwycięstwo i sama popychałam go do walki. Spartanka! Bogini Rewolucyi! jak sztydereczo mawiała o mnie jego matka. Och! gdyby czytać mogła w mem sercu, wiedziała by, że gdyby nie był to dla mego męża obowiązek droższy nad życie, nie pragnęła bym nie na świecie nad ciche gniazdko rodzinne, gdzie on, i dwoje dzieciątek moich było by przy mnie.

— Możesz pani powiedzieć to księżnie przerwał jej wicehrabia i wypełnił posłannictwo, które mu powierzono.

Lady Fitz-Gerald uczuła żywe wzruszenie, dowiedziawszy się o zaproszeniu świekry. Wydała natychmiast rozkaz, aby poczyniono przygotowania do odjazdu, co przecież dopiero nazajutrz dało się wykonać.

Gaillefontaine czekał.

Nagła metamorfoza, zresztą wytłomaczona porą roku, zaszła w domu, tak rokosznym jeszcze przed kilku dniami. Jednocześnie ze szczęściem zniknęło również słońce. Było to smutne popo-



ludnie dnia jesiennego. Padał deszcz. Poprzedniej nocy pierwszy przymrozek dał się uczuć w ogrodzie. Zwarzone kwiatki pochyliły boleśnie główki. Przebrzmiały już śmiechy dzieci, wesołe śpiewy ptasząt. Drzewa zdawały się płakać. W raju utracanym sama przyroda przywdziała na siebie żałobę.

Nazajurz rano obszerna karetą, na koźle której siedział Tony, oczekiwała przed przysionkiem.

Dzieci pytały, czy mają pojechać do ojca?

— Przynajmniej — odpowiedziała matka — zbliżymy się do niego.

W kilka godzin później zajechano do pałacu Leinster.

Tankred usunął się ze względów delikatności, lecz z daleka dosłyszał radosny okrzyk Łucyi.

Pozwalamy domyślać się tkliwych uniesień, z jakimi przyjęto Pamelę. Wzruszenie księżny matki objawiło się we łzach. Zupelne zapomnienie przeszłości przyszło jej z pierwszymi pocałunkami wnucząt. Uutiliła w swych objęciach ich matkę, dając jej słodką nazwę córki.

Nadszedł Reginald, przynosząc wiadomości od więźnia.

— Powiesz mi, półkowniku, co tu widziałeś — rzekła księżna.

## XVII.

### Z a z d r o ś ć.

Gaillefontaine zjawił się w pałacu Leinster dopiero w kilka dni potem.

Księżna przyjęła go z wyrzutem.

— To źle, panie wicehrabio, usuwać się w ten sposób od naszych poddżekowań.

— Musiałem urządzić się w Dublinie — odpowiedział.

— A więc zostajesz pan z nami?

— Dopóki Edward będzie w Newgate. Nastąpi niewątpliwie wygnanie i przyrzekłem jego żonie, że odprowadzę ich oboje do Francji.

— Niestety, jeszcze daleko do tego!

— Kto wie? Trzeba mieć cierpliwość.

Od tej chwili wicehrabia przyjął na siebie rolę przyjaciela, widzącego wszystko w różowym świetle, na sposób czysto francuzki.

Pewnego razu w czasie jego codziennych odwiedzin przybył sir Reginald Cornwallis.

Przedstawiono półkownika emigrantowi, emigranta półkownikowi.

Dwaj gentlemani podali sobie ręce.

Na twarzy sir Reginalda znać było jakąś troskę. Ztąd wszyscy zaniepokoił się o więźnia.

— Oeh nie! — zapewnił. — Z tej strony wszystko idzie pomyślnie, lecz przykro mi, że prowadzi się tu wojna w sposób barbarzyński.

Proszony o bliższe wyjaśnienie, Reginald opowiedział, że w domu na Kildare - street, gdzie uwięziono członów irlandzkiego dyrektoryatu popełniono rzecz dziką na dwóch trupach: Armstronga i Raynolda. Oskalpowano ich na sposób indyjski, oszpecono okrutnie. — Co do nich, to jeszcze rzecz mniejsza, gdyż byli to zdrajcy — mówił sir Reginald ze wzruszeniem. — Lecz major Sirm, ten, który zranił lorda Edwarda...

Małżonka i matka nie mogły się powstrzymać od pomimowolnego dreszczu bólesci, siostra uczyniła ruch prawie gniewu.

— Major Sirm był prawym żołnierzem — mówił dalej półkownik, odpowiadając ze smutną powagą na te nieme oznaki niechęci — on spełnił jedynie to, co mu nakazywał obowiązek.

— I cóż?

— Sirm został tajemnie zamordowany, padł ofiarą zdradzieckiego podstępku. Zasztyletowano go.

Tankred był żywy i gorącego serca, nie mógł więc powstrzymać słów, które mu się wydarły z piersi mimowoli. — Ach! zawołał, zapominając,

że mówi do syna wice-króla, do Anglika — Irlandya ma takie straszne prawo odwetu za niewypowiedziane krzywdy i zbrodnie, których się na niej dopuszczano, że jej wolno walezyć tą bronią tajemnej partyzantki. — A rzezie i pożogi całych okolic, a zatamowanie życia, a mordowanie ducha całego narodu? Czyż Anglia nie dopuszczała się tu tego?

Sir Reginald pobladł, ale powstrzymał się z odpowiedzią. Czy uczuł, że Francuz ma w sędzie swym słusność za sobą, czy nie chciał wszczynać sporu i dodał tylko, że oskalpowano i Sirm.

Kobiety nie zrozumiały ostatniego wyrażenia, i Tankred je wytłumaczył.

— Walczyłem w Ameryce — wyjaśnił, zwracając się do sir Reginalda i studyowałem obyczaje Czerwonych Skór. — Poczem dodał dla użytku pań: — Dzieci zdzierają i zachowują jako trofea czaszki z włosami zwyciężonych nieprzyjaciół. Operację tę nazywają: skalpowaniem: okrucieństwo czysto indyjskie!

— Przyjęte teraz przez Zjednoczonych Irlandczyków — dorzucił angielski oficer — gdyż już nie pierwszy raz użyli tego sposobu. Chyba, że może liczą w swych szeregach, jako sprzymierzeńców kilku z tych ludożerców.

Tankred przypomniał sobie Unkasa, milczącego sługę Jakóba. Mimowolnie uczynił poruszenie, które nie uszło uwagi Reginalda.

— Jeżeli posiadasz pan jaki wpływ na politycznych przyjaciół lorda Edwarda — rzekł do niego syn wicekróla — w takim razie zechciej przekonać ich, że przez takie bezużyteczne zemsty paraliżują jedynie dobre chęci tych, którzy usiłują ocalić ich naczelników.

— Sądzę — przerwała mu księżna Leinster z dumą — że nikt nie połączy nazwiska mego syna z takimi mordercami.

— Z pewnością — odparł — lecz i w naszych szeregach znajdują się również nieprzeblagani, którzy za wszystko co się stanie, wśród uniesienia rozdrażnionych namiętności, chcą pociągnąć do odpowiedzialności tych, którzy je wywołali. Bronimy nie tylko życia Fitz - Geralda, lecz również i honoru jego.

Powiedziawszy to, sir Reginald oddalił się, rzucając na Tankreda podejrzliwe spojrzenie.

— Niech myśli, co chce — rzekł sobie ten ostatni w duszy — dobrze jest i zdrowo dla niego, aby słyszał raz prawdę.

Kornelia podziękowała mu spojrzeniem, za obronę jej nieszczęśliwego narodu i rzekła potem przy sposobności. — Półkownik Cornwallis jest człowiekiem honoru, ale w Anglii tak wychowują młodzież w pojęciach jednostronnych. Irlandya jest dla nich gniazdem zbójców, gdy się broni i wależy jak może w trudnych okolicznościach, jakie jej wyróbiono, oni zaś mają za sobą zawsze prawo. Sir Reginald nazywa zawsze tę nieszczęsną wojnę: *domową*, a tu, mój Boże, nie ma nawet nikogo, aby mu w tem zaprzeczył.

— I to... to rozerwanie jedności narodowej, to zmieszanie pojęć, to sfalszowanie prawdy dla wielu umysłów, to też dzieło ich polityki i straszego naszego losu...

Tankred uściśnął rękę szlachetnej dziewczycy, która dodała po chwili.

— Ale nie powinno się popełniać więcej tych rzeczy wstrętnych, które rzeczywiście kompromitują nas w oczach Europy. Trup człowieka, to ziemskie szczątki tego, który już jest na sądzie Bożym...

Nazajutrz powiedziała Tankredowi. — Już prosiłam o to i przyrzeczono mi.

— A Jakób jak się ma? zapytał Tankred.

— Zdrow jest i... bezpieczny — odrzekła.

— Masz pani zatem sposobność widywania go? zapytał Tankred żywo, ale ona podniosła na niego wzrok poważny, który zdawał się mówić. — Są tajemnice, o które się nie pyta nawet przyjaciel...

Ale gdy Tankred się oddalał, ona mu rzekła przyciszonym głosem. — Jakób umie być cierpliwym...

— Oh, dzięki pani za to słowo — odparł Gail-

fontaine — znaczy to bowiem, że Jakób potrafi... czekać...

— Tak...

— Ale przecież powinien bym może coś wiedzieć, gdyż w razie...

— Gdy wybije godzina, będziesz pan wiedział — odparła Kornelia.

Wszedł ktoś z nowych gości, Tankred musiał się zatrzymać jeszcze i z niemem uwielbieniem patrzył, jak ta dziewczica, której ciemne oko płonęło przed chwilą ogniem zapału, wyrażało dumę i siłę bohaterki, teraz siedziała cicho przy krosnach i haftowała. To była jej zwykła rola w salonie pałacu Leinster: była to ta legendowa „kuzynka“ istota cicha, milcząca, mało zwracająca uwagi na siebie i nie zdająca się brać żadnego udziału w tem co się dzieje wokoło.

Ożywiała się dopiero wtedy, gdy trzeba było coś uczynić dla rodziny, która jej zastępowała rodziców. Lady Pamelę i dzieci Edwarda otaczała troskliwością szczególną, ale z Łucyą łączyła ją widocznie przyjaźń bardzo tkliwa i zdawało się nawet Tankredowi, że i siostra Edwarda wie niejedną rzecz, o której wiadomość nie podejrzwanoby nikogo w pałacu Leinster.

Ale to nie szkodziło Łucyi w oczach Tankreda, o nie! Uwielbiała ją codzień więcej i codzień więcej stawali się przyjaciółmi. Księżna nie stawiała temu na przeszkodzie, bo i ona bardzo lubiła Tankreda, który stał się tu wkrótce gościem codziennym, przynoszącym ze sobą trochę ożywienia i rozerwania myśli. Dla smutnych, taki przyjaciel jest podobnym do promienia słońca wśród słoty.

## XVIII.

### Zima w Dublinie

Summy uniesione z ojczyzny i umieszczone potem w sposób bardzo korzystny w Ameryce, gdzie dawny adjutant La Fayette miał przyjaciół i stosunki, pozwalały mu na wygnaniu prowadzić życie więcej niż wygodne. Zajął piękne mieszkanie, i napisał do Corku, aby przysłano mu Pata na służącego.

Paddy przybył od stóp do głowy odziany w płótno smołowcowe, mocno żółtej barwy, jakie noszą marynarze podczas niepogody.

A właśnie była to przesłiczna pogoda.

Trudno wyobrazić sobie coś śmieszniejszego, jak ten dziwaczny, nieodpowiedni do pory strój a przytem komicznie żalostną minę biednego chłopaka.

Tankred nie mógł się powstrzymać od śmiechu, lubo w duszy żał mu się zrobiło poczciwego Pata.

— Wyglądasz jak koczokodan — zawołał. — Zkądże u licha przybywasz w tym stroju?

— Wprost ze statku — odpowiedział Pat. — O, na Ś-o Patryka, już nigdy w życiu nie będę podróżował morzem!

— A dla czegoż nie przybyłeś łądem? Przecież posłałem ci pieniądze.

— Serdecznie dziękuję panu, lecz pieniądze oddałem Peggy...

— Peggy?

— Zapomniałeś już pan Peggy?

— Ach, pamiętam, pamiętam. Twoja narzeczona! No, i cóż się dalej stało?

— Wsiadłem na pokład statku, płynącego do Dublina, jako dodatkowy majtek. O mój Boże, cóż to za służba, jaka praca! Łachmany moje nie mogły się oprzeć. Fale morskie i wichry zaniósły je do wszystkich dyabłów i gdyby nie łaska kapitana, który raczył odziać mnie w tę błazeńską liberyę nie mógł bym przybyć tu przyzwoicie. Ale Jego Cześć nie odmówi porządnej liberyi swemu wiernemu słudze. A dalibóg jest to rzecz niecierpiąca najmniejszej zwłoki!

— Wicehrabia śmiał się ze zrzecznej taktyki Pata.



— Jesteś zabiegliwym ojcem rodzinny — rzekł mu. Idź i każ sobie pokazać tymczasowemu memu lokajowi twoją sypialnię, gdzie proszę cię siedź cicho i nie wychodź, dopóki nie przybędzie krawiec. Nie chcę, abys tu straszyl ludzi.

— Co! Ja miał-bym narażać honor mojego pana? Nigdy! — zawołał Pat uszczęśliwiony. — Odtąd wyrzekam się wszelkich skoków, tańców a nawet piosenek, wyjąwszy na S-o Patryka, gdyż to należy do artykułów wiary. Ho, ho! Nie jest ten Irlandczykiem, kto w ten dzień nie spróbuje swego basu czy barytonu i... nie wybije choć jednej szyby Anglikowi.

Powiedziawszy to, paddy oddalił się, wywinawszy w progu młynka — po raz ostatni, jak uroczyste poprzysięgł.

Nazajutrz nikt by go nie poznał. Ufryzowany, poważny i milezący, wydawał się w nowej liberyi zaufanym rządcą domu samego aldermana Dublinu.

Tymczasem Tankred skorzystał z kilku listów rekomendacyjnych i zapoznał się z wielu osobami w mieście. W skutku tego otrzymywał mnóstwo zaproszeń i wszędzie przyjmowano go z największą serdecznością. Tę łatwość w przypuszczeniu cudzoziemca do towarzystw miejscowych, paddy wytłomaczył mu wielką gościnnością Irlandczyków.

— Ho, ho! — zawołał. — Takie to są wszystkie domy irlandzkie! U nas, panie, daleko łatwiej wejść do jakiego domu, niż z niego wyjść. Taka to u nas gościnność!

Tankred nie mógł się przecież usunąć i od angielskich towarzystw; choć nie lubiono tu Francuzów, Gaillefontaine jako emigrant używał praw innych i cała miejscowa arystokracja, tak Angielska, jak miesząca się z nią Irlandzka, pragnęła go mieć u siebie. To że był w pałacu Leinster, że nawet przyjmowano go tam, jak bliższego przyjaciela, posłużyło już za rekomendacją i nikt z Anglików nie podejrzewał jego rzeczywistego położenia i przyczyn pobytu w Irlandyi. Że zaś był elegancki, że mógł i chciał podobać się pięknym paniom, w krótkim czasie stał się pierwszym lwem Dublińskim.

Dandysi z Phoenix-Parc naśladowali go we wszystkim. Fryzowano się à la Gaillefontaine, zdobywano szturmem jego krawca, dzienniki powtarzały jego dowcipy, opowiadano sobie o tysiącach miłosnych przygodach pięknego Francuza, i gdyby był ktoś opowiedział o jego udziale w tragedyi, rozegranej w domu przy Kildare-Stre-et, byłoby to sprawiło efekt pękającej w salonie bomby. Ale któż by mógł go podejrzewać o stosunki z buntownikami? Zdawało się wszystkim, że polityka nie istniała dla niego, tak całą duszą oddawał się zabawom, był takim adonisem, takim „ci devant“, że policja nie przypuszczała, w jego głowie żadnej poważniejszej myśli. — Letkiewicz... — mawiali o nim ludzie starsi.

Można mu było uczynić jeden tylko zarzut, a mianowicie jego przyjaźń dla lorda Edwarda Fitz-Gerald. Lecz wcale nie ukrywał się z nią. Owszem mówił o niej głośno i wszędzie, starając się pozyskiwać dla biednego więźnia co raz więcej współczucia.

— Oto mój cel! — mówił w pałacu Leinster. — Każdy wależy jak może, ja w tej chwili nie mam innej broni.

I powodziło mu się do tego stopnia, że zjednał sobie, a przynajmniej ugłaskał nawet barona Homspach, dzikiego niemieckiego żołdaka; nawet lorda Cornwallis, najsurowszego urzędnika trzech połączonych królestw.

Jeden tylko sir Reginald pozostał chłodnym dla niego. Nie zapomniał słów raz usłyszanych, wreszcie są instynkta, które nigdy nie zawodzą!

Tankred gorąco pragnął ułagodzić tę niechęć, a może i zazdrość serca. Jeżeli jaka przyjaźń mogła mu być potrzebną do jego zamiarów, to niewątpliwie przyjaźń syna wicekróla. Aby ją

pozyskać, zaczął okazywać obojętność dla Łucyi, a dla sir Reginalda był tak serdeczny, tak wylany, że prędzej, czy później musiało to przewyciężyć chłód Anglika.

Pewnego wieczoru gdy sir Reginald odwiedził Tankreda i znajdowali się sami tylko, ten ostatni, korzystając ze sposobności, zaczął uprzejmie wymawiać gościowi brak zaufania i życzliwości.

— Półkowniku — rzekł wreszcie, podając mu z serdecznością rękę. — Jestem szczerym twym przyjacielem a pragnę i zasługuję na to, abys mi się odwzajemnił równem uczuciem.

— Sądziłem, panie wicehrabio, że ubiegasz się jedynie o pozyskanie serca kobiet — odparł Reginald z goryczą. — Tak gorliwie starasz się o łaski wszystkich pań...

— Z wyjątkiem jednej tylko — odparł Tankred ze szlachetną otwartością — gdyż wysoko szanuję jej charakter i stosunek do człowieka, którego przyjaźni pragnę.

— Czy mówisz to pan szczerze? — zapytał syn wicekróla.

Tankred podniósł głowę i odparł. — Godłem starego herbu Gaillefontaine jest: — Nigdy nie kłamie, nigdy nie zdradzam!

Jaśniało mu w oczach tyle prawości, że Reginald uczuł się przekonany. Uchwycił rękę Tankreda i uściskawszy ją serdecznie, zawołał:

— Ach odgadłeś mnie wicehrabio! W istocie byłem zazdrosny! Ale teraz było by to zbrodnią względem takiego człowieka, jak ty wicehrabio. O, gdybyś pan mógł pojąć, jak ja bardzo kocham miss Lucy!

— Pojmuję to — szepnął cicho Gaillefontaine.

— Nie — mówił dalej Reginald — gdyż pan rozpraszales swe uczucia na tysiące upodobań i lekkich miłostek. To wasz zwyczaj, panowie Francuzy. Dziś ta, jutro inna. Co do mnie, nigdy nie kochałem i nie będę kochał nikogo oprócz tej jednej i jedynej. Dla niej było pierwsze, dla niej będzie ostatnie uderzenie mego serca, które w całości do niej należy. Jest to uczucie, które się skończy z mem życiem, bo jest już ono we mnie życiem samem. Gdybym musiał zrzec się Łucyi!... O! nie jestem w stanie tego pojąć...

Mówił powoli, spokojnie, nawet nie podnosząc głosu. A przecież czuć było w jego słowach, tak wielką i głęboką miłość, tyle prawdy i szczerego, gorącego uczucia, że ten, który go słuchał, czuł się aż do głębi duszy, wzruszonym. Teraz Tankred uściskał z kolei rękę Reginalda.

— Mój ojciec wie o tem dobrze — mówił dalej Reginald. — Nie miał też odwagi powiedzieć mi, że zamiar ułożonego między naszymi rodzinami małżeństwa musi być z konieczności odłożony, jeżeli już nie zerwany. Gdy błagałem go o poślubił dla lorda Edwarda, gdy mu przypomniałem, że to jest brat tej, która ma być moją żoną, lord Cornwallis odrzekł mi jedynie: — Na szczęście, nie jest nią jeszcze! — Ale nią będzie! zawołałem wzruszony — będzie... powtórzyłem stanowczo, wtedy biedny mój ojciec westchnął. Odtąd nie mówiliśmy o tem nic, lecz wie on aż nadto dobrze, czem jest dla mnie Łucya.

— Wicehrabio, nie zdołał bym ci opisać całego mego niepokoju, i wszystkich moich obaw — zaczął sir Reginald po chwili. Powinieneś mi więc przebaczyć mój smutek, moją zazdrość. Ale zostało to już pogrzebanem...

I ci dwaj ludzie, tak różnych charakterów, postawieni przez okoliczności na tak odmiennych drogach działania, że stawali się niemal przeciwnikami, uczuli się od tej chwili związani węzłami wzajemnej i już nie z potrzeby udawanej życzliwości: stali się sobie szczerze, niekłamane życzliwymi.

Teraz Tankred znajdując się w pałacu Leinster jeszcze więcej musiał się pilnować w obec Łucyi i to nietylko w obejściu się z nią jedynie: musiał pilnować serca własnego. Widok Łucyi przejmował

wał go uczuciem tklivem, nieznanem mu aż do- tąd. — Och szczęście mego życia byłoby tam niewątpliwie! — myślał — lecz już zapóźno... już jest tam ktoś inny, którego prawa są dawniejsze.

I nawet w nieobecności Reginalda, nawet gdy się znajdował sam z Łucyą tylko i Kornelią, Gaillefontaine trzymał się zawsze w granicach, pełnej szacunku przyjaźni.

Podczas jednej z tych rzadkich sposobności, Łucya rzekła raz ze smutnem wzruszeniem:

— Już wiem teraz, wiemy obie z Kornelią, z czyjej ręki półkownik Armstrong otrzymał zasłużoną karę.

Tankred spojrział na nią z zadziwieniem. Poczem upewniwszy się, że nikt inny oprócz dwóch dziewczyn nie mógł go słyszeć, odpowiedział zniżonym głosem:

— Był to pojedynek bez świadków — a zwierzyłem się tylko przed jednym człowiekiem.

— Tak — rzekła Lucy — przed Jakóbem.

— A więc widziałas go pani?

— Ja nie, lecz Kornelia.

Błada twarz tej ostatniej zarumieniła się lekko. Spojrzała na Łucyą z pewnym wyrzutem w oczach.

— Dla czegoż — odpowiedziała jej na to siostra Fitz-Geralda — dla czego nie miała bym powinszować panu wicehrabiemu rycerskiego czynu, spełnionego w szlachetnym celu ocalenia Edwarda? Czy dla tego, aby mu nie odkryć stosunków z Jakóbem? Ależ jest to rzeczą naturalną, żeśmy zerwać ich nie mogli. Jest on dla nas nietylko najlepszym przyjacielem od lat dziecinnych, ale prawie bratem!

— Przyjacielem od lat dziecinnych... powtórzył Tankred głosem ciekawego zapytania.

— Wychował się razem z nami — objaśniła go Łucya — rósł i uczył się obok Edwarda w domu naszych rodziców: tu w Leinster, w Kildare. Byłam wówczas bardzo małą, lecz pamiętam go wtedy, jak podzielał zabawy Edmunda, jak nosił mnie na rękach, narażał się na tysiączne niebezpieczeństwa, dla zadowolenia mych kaprysów. O, jest on tak dobry, a razem tak nieustraszony!

— To prawda: dobry i nieustraszony! — powtórzyła cicho Kornelia.

— Aż naraz rozdzieliliśmy się — mówiła dalej Łucya — Jack popłynął do Ameryki i długo, długo, nie widzieliśmy do. Cała nasza rodzina była tem mocno zmartwioną. Wszyscy go tu kochali, a nadewszystko nasz ojciec. Wszak pamiętasz, Kornelio, jak papa kochał ogromnie Jacka?

— Biedny papa... — dodała z westchnieniem — nie było go już, gdy wreszcie Jack powrócił. Pomimo tego Jack przyjęty został tak samo jak dawniej. Później wprawdzie oskarżając go, że pociągnął Edwarda na niebezpieczną drogę skrytych działań, które nazywa powinnością względem Irlandyi, mama powiedziała parę przykrych słów, które go dotknęły, oddalił się zatem z naszego domu, ale to nie zerwało stosunku z nami. Bywa często w Kildare, niekiedy nawet tu, w Leinster, jest przytem chrzestnym ojcem Kornelii, która uważa go za starszego brata. Ona więc zachowuje z nim stosunki, co jej łatwiej przychodzi jako starszej i mającej więcej swobody odemnie.

Kornelia milczała w czasie całej tej mowy, lecz w jej wielkich, czarnych oczach był blask jak płomień głębokiego uczucia.

— Jeszcze jedna z owych miłości, które trwają przez całe życie — pomyślał mimowoli Tankred.

Zresztą nie pierwszy to raz od rozstania się z Jakóbem, słyszał o nim, bo słyszał bardzo często i bardzo wiele o *Dzikim Irze*.

(Dalszy ciąg nastąpi)